

W numerze: Pięćdziesięciu śmiałych • Nasz ojciec Roosevelt • Dragon •
Spotkanie z Hansem Zbindenem • Może panu powróżyć? • Wiersze
• Recenzje • Felietony • Polonica

odgłosy



Nr 23 (399)
13 VI. 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK

ROK VIII

TADEUSZ SZEWERA

Nie wszystkie „Steny” spadły z nieba...

26 października 1943 roku o godzinie 14 minut 05, oddział specjalny liczący 200 uzbrojonych po zęby i świetnie wyszkolonych żandarmów do zwalczania polskiej partyzantki działającej w rejonie Gór Świętokrzyskich, otoczył szczelnym kordonem firmę przemysłową St. Tańskiego i S-ki w Suchedniowie, produkującą maszyny rolnicze. Przez główną bramę od strony ulicy Fabrycznej wkroczyli na dziedziniec gestapowcy i funkcjonariusze niemieckiej policji. Stały maszyny. Robotników wypędzono przed budynki i ustawiono pod ścianami.

Jeden z nich, Tadeusz Kopeć — członek podziemnej organizacji, nie wytrzymał nerwowego napięcia i rzucił się do ucieczki. Padł opodal bramy przeszyty serią z peemu. Potem rozległ się jeszcze pojedynczy strzał. To któryś z żandarmów zabił bez powodu kolejarza, przypadkowo przebywającego na terenie fabryki.

Tymczasem w biurze i w służbowym mieszkaniu inż. Kazimierza Czerniewskiego gestapowcy przeprowadzali rewizję. Domowników nie zastali, inżynier był w Warszawie, jego siostrę Janinę wyjechała do Skarżyska. Nie było także w biurze inżyniera Mieczysława Laurego. Niemcy rozbijali zamki w szufladach, pękali z trzaskiem drzwi od szaf, w których trzymano dokumentację maszyn. Rewizja trwała również w warsztatach fabrycznych. Ludzie spędzeni na dziedziniec czekali pełni niepokoju. Nie bardzo orientowali się, czego Niemcy szukają. Naraz usłyszeli triumfalne wrzaski. W szufladzie warsztatowej ślusarza Józefa Kazimierskiego znaleziono sprężyny do pistoletów maszynowych typu „Sten”, a w mieszkaniu Olgierda Wiszniewskiego, syna właścicielki Firmy — Marii Tańskiej — rysunki broni i wykonany przez niego prototyp pistoletu maszynowego „Grot” przeznaczony do walk dywersyjnych. Ani Kazimierskiego, ani Wiszniewskiego na szczęście nie było w tym czasie w Suchedniowie. Natychmiast aresztowano wszystkich pracowników biura technicznego. Na dziedziniec wywieziono kierownika biura inżyniera Walerego Zięlezińskiego. Ociekał krwią, a mimo to bito go nadal. Z warsztatów prowadzono skatowanego majstra Eugeniusza Winiańskiego. Nagle w mieszkaniu inżyniera Czerniewskiego wybuchła gwałtowna strzelanina i po chwili przeniosła się na tyły fabryki, w ogrody. Przed dom wybiegli okrwawiony żandarm i padł tuż przed gankiem. Jego rozzwierający krzyk — hilfe! hilfe! — zgłuszył nagle i ludzi trzymanych pod strażą ogarnął paniczny strach. — Co teraz będzie? — Zaledwie kilku z nich rozumiało, co oznaczają gęsto padające strzały. W mieszkaniu inżyniera przebywał Bronisław Sianoszek „Broniek” żołnierz z oddziału partyzanckiego „Ponurego”, dowódca konspiracyjnej ochrony fabryki. Nie wiedząc o jego obecności żandarmi weszli do pomieszczeń bez zachowania ostrożności. Ostrzelali ich z „Visa”, a potem dał susa na ganek. Strzelił jeszcze raz, trafił oficera i pobiegł do furtki prowadzącej w ogrody. Tu się potknął i runął jak długi. To go ocaliło. Seria z kaemu sto-

Dalszy ciąg na str. 4



Fot. E. Haneman

ŁÓDŹ — OSRODEK MYŚLI HUMANISTYCZNEJ

W REDAKCJI NASZEGO TYGODNIKA NA TEMAT SYTUACJI NAUK HUMANISTYCZNYCH W ŁÓDZI ROZMAWIALI: PROF. DR GRYZELDA MISSALOWA, DOC. DR ANTONINA KŁOSKOWSKA, DR JOLANTA KULPIŃSKA, DOC. DR BOLESŁAW LEWICKI, DR ZDZISŁAW PROCHOWSKI I DR ZDZISŁAW SPIERAŁSKI. OTO FRAGMENTY TEJ DYSKUSJI.

ODGŁOSY: W zaproszeniu, które skierowaliśmy do Państwa była mowa o potrzebie dyskusji na temat inicjatyw badawczych i wydawniczych ośrodków naukowych, które Państwo reprezentują. Chcielibyśmy po pierwsze, zilustrować i ocenić faktyczny stan rzeczy jaki istnieje w naszym środowisku naukowo-universyteckim,

czy stan posiadania uszczupla się czy nie, czy ma szansę wzrostu i rozwoju. Chodziło nam o wzgląd drugi — wzgląd propagandowy, o to by poinformować Czytelników i społeczeństwo o sprawach, które naszym zdaniem są zbyt mało lub wcale nieznane. W okresie ogólnych podsumowań dobrze byłoby wskazać na żywe ogniska myśli naukowej, badawczej i wydawniczej na naszym terenie. Serdecznie Państwa w imieniu redakcji do takiej rozmowy zapraszamy.

Dr Z. SPIERAŁSKI: Wydawnictwo Łódzkie nie posiada odrębnej redakcji naukowej, ani popularnonaukowej. Istnieje obok redakcji literatury pięknej redakcja literatury społeczno-politycznej. Została ona powołana do publikowania prac związanych z przeszłością i teraźniejszością Łodzi i regionu łódzkiego. W ramach tej redakcji

jest oczywiście miejsce na publikację popularnonaukową, a nawet naukową. Jednakże prace naukowe mogą stanowić tylko margines działalności edytorskiej Wydawnictwa. Uważamy, że nie jest to właściwe i jak Państwu zapewne wiadomo, uczyniliśmy już sporo, by margines ten znacznie rozszerzyć.

Możliwości publikowania prac naukowych, a przede wszystkim popularnonaukowych, są większe, jeśli dana praca ma szansę zdobycia jak największej ilości czytelników. Chodzi nam bowiem o to, aby wydawać prace o szerokim oddziaływaniu społecznym. Oczywiście tzw. profil wydawniczy warunkuje, że muszą to być prace z dziedziny nauk społecznych, związane tematycznie z problemami Łodzi i województwa łódzkiego.

Kierownictwo Wydawnictwa Łódzkiego

zdaje sobie sprawę, że w Łodzi istnieje dużo ośrodków naukowych, a nawet osób pracujących indywidualnie, posiadających znaczne osiągnięcia na skalę krajową. Trzeba uczynić wszystko, aby te osiągnięcia ujawnić i spopularyzować. Wydawnictwo stara się pomagać młodej kadrze naukowej naszego środowiska i szereg przedstawicieli tej kadry właśnie u nas publikowało swoje pierwsze książki.

Doc. dr A. KŁOSKOWSKA: Możliwości wydawnicze Łodzi nie przedstawiają się najlepiej. W rezultacie wielu naukowców łódzkich zwraca się do centralnych wydawnictw warszawskich. Starsi autorzy i w tej sytuacji nie mają w wielu wypadkach

Dalszy ciąg na str. 3



„Nieoficjalna” wizyta kanclerza Erharda w Stanach Zjednoczonych stała się w ostatnich dniach, w kołach politycznych Zachodu tematem nr 1. Nie była wprawdzie zaskoczeniem, ale wywołała fale komentarzy. Uznano ją bowiem za wstęp do kampanii wyborczej, która trwać będzie do września br. „Washington Post” posłużył się przy tym następującym porównaniem: „Tak, jak Wagner rozpoczynał swe opery wielkimi uwerturami, tak politycy niemieccy szukają tonu przed wyborami, nastawiając się na najsilniejszego swojego sojusznika — Stany Zjednoczone”.

Nie będziemy kruszyć kopii o to, czy porównanie słuszne. Spróbujmy raczej wyjaśnić, dlaczego wizyta wzbudziła takie zainteresowanie.

Pierwszy i najpoważniejszy powód — to aktualna pozycja CDU. Po raz bój pierwszy w historii Niemiec zachodnich nie jest pewne, czy partia ta odnieśli zwycięstwo. Socjaldemokraci bowiem wzmocnili wyraźnie swe wpływy i mogą żywić realne nadzieje na przejęcie kontroli nad rządem federalnym.

Jak taką zmianę widziałby Waszyngton?

To właśnie głównie niepokoi Erharda i jego ekipę. Tym bardziej, że po niedawnej wizycie Brandta i Erharda, którzy przedstawili się w Waszyngtonie jako członkowie ewentualnego przyszłego rządu socjaldemokratycznego, w niektórych kołach oficjalnych USA wyraża się opinię, że zwycięstwo Brandta mogłoby okazać się ułamek nie tak wielki.

Drugi powód — to stosunki bilateralne z Francją. Stały spadek temperatury na linii Bonn — Paryż i zapowiedziane rychłe spotkanie z de Gaulle'm każe Erhardowi upewnić się, czy ma w Stanach Zjednoczonych zabezpieczone tyły, co pozwoliłoby palić mosty w rozmowach z „nieznajomym” prezydentem Francji. Innymi słowy: Czy można liczyć w takiej czy innej formie na dopuszczenie nie NRF do broni nuklearnej i wobec tego zastrzeżenie ton w stosunku do Paryża? Propozycje McNamary na sesji ministrów obrony krajów atlantyckich powołania do życia komisji, składającej się z ministrów 4-5 krajów NATO, która decydowałaby o użyciu broni nuklearnej, są nowym, pomysłowym dla Niemiec zachodnich prognostykiem.

Trzeci powód — to ogólna sytuacja w NATO. Wobec ciągłych afektów Francji i szerzącego się rewizjonizmu, który znajduje wyraz w mnożących się koncepcjach reorganizacji paktu północnoatlantyckiego, Erhard chciał mocno podkreślić swój „atlantycyzm”.

Jako czwartą przyczynę wizyty w stolicy USA trzeba wymienić chęć „przypomnienia” Waszyngtonowi, że istnieje problem niemiecki. Kanclerz NRF uznał to za słuszne, ponieważ nie może pogodzić się z faktem, że w ostatnim okresie Stany Zjednoczone niemal bez reszty zajęły się sytuacją w Wietnamie i Dominikanie.

I dopiero na końcu tej listy wymieniać nie trzeba chęć przedyskutowania nie-

których innych problemów sytuacji międzynarodowej. Jak bowiem zauważa „New York Herald Tribune” — „każdy krok przywódców politycznych NRF zdeterminowany jest nadchodzącymi wyborami do Bundestagu”.

W momencie przygotowywania komentarza do druku nie znamy jeszcze ostatecznych wyników rozmów Erharda w Waszyngtonie. Nie oczekiwano jednak żadnych konkretnych decyzji, czy ustaleń. Nie są one obecnie na rękę Stanom Zjednoczonym.

Jeśli wspomnieliśmy o polityce amerykańskiej — to trzeba jeszcze poświadczyć kilka słów o polityce inicjatyw politycznej przez republikanów.

Jak nasi Czytelnicy z pewnością zauważyli, po klęsce wyborczej w listopadzie ub. roku republikanie właściwie nie przedstawiali żadnych własnych koncepcji, lecz po prostu chwytali politykę zaprawioną Johnsonem. Teraz sformulowano oficjalny dokument (na posiedzeniu t.zw. „komitetu koordynacyjnego partii republikańskiej”), w którym głosi się konieczność „polityki zdecydowanego oporu wobec agresji komunistycznej” oraz stwierdza, że „pokoje jest produktem siły, a... ustępstwa jedynie mnożą ryzyko wojny powszechnej”. Komitet w sprawie Wietnamu domaga się takiej polityki ze strony administracji, która unieważniłaby jakikolwiek kompromis. Zapowiada również wysłanie do Paryża specjalnej misji w celu zbadania przyczyn trudności w NATO i „dopomożenia rządowi w szybkim i rozsądnym stawianiu czoła tym problemom”.

Myślę, że wszystko to razem można określić w następujący sposób: ponieważ Johnson zastrzega swą politykę — republikanie widzą możliwość wzmagania nacisku w celu dalszego uszczuplenia jej.

W pewnym sensie — przyznają zachodni komentatorzy — jest to na rękę Johnsonowi, ponieważ będzie mógł stwarzać wrażenie, że znajduje się pod ostrzałem krytyki nie tylko „z lewa”, lecz i „z prawa”, a zatem, że jego polityka nie jest tak niebezpieczna, jak głoszono do liberalni opozycji.

Tymczasem w obecnej polityce Johnsona nie trudno dostrzec się dalekosiężnych elementów. Czyli to porównanie również prasa amerykańska, podkreślając jednak, że obecny prezydent ma od byłego sekretarza stanu, autora teorii o konieczności utrzymania świata na krawędzi wojny, „mniej dyplomatycznego doświadczenia i intelektualnej finezji” (1).

Z Ameryki — przerzucmy się jeszcze na chwilę na Bliski Wschód, gdzie właśnie zakończył się maly arabski szczyt z udziałem przedstawicieli 12 krajów. Poświęcony był on głównie konsolidacji świata arabskiego, poważnie zakłóconej stanowiskiem Tunezji o konieczności koegzystencji z Izraelem. Wbrew wcześniejszym oczekiwaniom wielu komentatorów — Tunezji nie wykluczono z Ligi Arabskiej. Zadowolono się zdecydowanym odjęciem od jej propozycji. Tak więc do rozłamu nie doszło. Jest przy tym znamienne, że równocześnie w wystąpieniu Nasera pojawiły się pewne tony umiarkowania w sprawie izraelskiej, co z kolei znacznie wzmogło antyegipskie nastroje w Syrii.

Sygnalizuje sytuację w świecie arabskim, ponieważ kto wie, czy w najbliższym czasie nie będą zmuszeni biegiem wydarzeń, do niej powrócić.

W. SŁAWSKI

Kronika Tygodnia

NIEDZIELA,
30 maja

* Jack Anderson — współpracownik znanego publicysty amerykańskiego Pearsona — oświadczył w audycji telewizyjnej CBS, że „w najbliższym czasie należy oczekiwać ruchu politycznego na Kubie, organizowanego i finansowanego za wiedzą Johnsona, którego celem będzie obalenie Castro”.

* W okresie od 1 stycznia 1941 r. do 1 grudnia 1963 r. liczba specjalistów z wyższym i średnim wykształceniem, zatrudnionych w przemyśle ZSRR, wzrosła z 311 tysięcy do 2,1 miliona osób, czyli 6,8 raza.

* Według przypuszczeń amerykańskich ekspertów wojskowych w ciągu najbliższych 10 lat ChRL dysponować będzie potężnym arsenałem międzykontynentalnych rakiet do przenoszenia ładunków jądrowych.

tulu doktora honoris causa w uniwersytecie kolumbijskim w N. Jorku, francuski dziennik „Nation” pisze m.in.: „Wobec wzgledy kierują Erhardem w jego ponownych, intensywnych presjach na Waszyngton, na rzecz zbrojeń nuklearnych NATO, w których Niemcy mogłyby wreszcie uczestniczyć. A przecież Bonn zdaje sobie sprawę z nieprzewidywalnej nieufności, jaką budzą te kroki zarówno w Paryżu, jak i w Moskwie. Władom tam również, że jest to najgorzej droga, która mogłaby prowadzić do zjednoczenia Europy. Mimo to Niemcy odwołują się do niej ostentacyjnie. Jest to godne pożałowania”.

Kazania mogłyby być z pewnością skuteczniejsze, gdyby ich nie było tak wiele.

MICHAEL RAMSEY
Arcybiskup Canterbury

PONIEDZIAŁEK,
31 maja

* Prezydent de Gaulle nie zgodził się na udział Francji w obchodach 150 rocznicy bitwy pod Waterloo, która zdecydowała o upadku Napoleona. Natomiast w Londynie zostanie wydany 18 czerwca br. „Bal-Waterloo”, w którym zapowiedzieli swój udział królowa Elżbieta II i książę Filip.

* Do Londynu przybyła 77-letnia poetka radziecka Anna Andrejewa Achmatowa. Dwunastodniowy pobyt poetki w Anglii wiąże się z przyznaniem jej tytułu doktora honoris causa na wydziale literatury uniwersytetu w Oksfordzie.

* Według doniesień AFP, bieżący numer miesięcznika „Międzynarodowa Złota” zamieszcza stenogram konferencji w Jaltie i Poczdamie.

Nim Zachód straci cierpliwość w Afryce, musi przypomnieć sobie o tym, że cierpliwość Chińczyków nie posiada granic.
„THE ECONOMIST”
Londyńskie „Gazetopismo Gospodarcze”

WTOREK
1 czerwca

* Ledwie przebrzmiał we Włoszech skandal z aferą tytoniową, a już odkryto nowe nadużycia, których dopuścili się trzej lekarze i jeden adwokat. Łupem aferzystów padło ponad miliard lirów, przeznaczonych na zwalczanie gruźlicy. Wśród podejrzanych znalazł się profesor Nicola Aliotta, pracownik ministerstwa zdrowia.

* W związku z wizytą kanclerza Erharda w USA, rzekomo z okazji przyznania mu ty-

wodów na to, iż zajmuje postawę zdecydowanie antyamerykańską”.

* 49-letnia Ethel Dupont Warren, najstarsza córka dyrektora amerykańskiego koncernu chemicznego „Dupont de Nemours”, spadkobierczyni jednego z największych majątków świata, popełniła samobójstwo w Detroit.

PIĄTEK
4 czerwca

* Agencja AP relacjonując wywiad Czou En-lai, udzielony kairskiemu tygodnikowi All Moussawar, podaje: „Czou En-lai twierdził, że imperializm amerykański ulega osłabieniu, ponieważ wywołal konflikt w tytu rejonach świata — w Wietnamie, Kongo, Dominikanie i w świecie arabskim, i przynajmniej jedna trzecia amerykańskich sił zbrojnych rozsiada jest obecnie po całym świecie”. Czou En-lai powiedział następnie, że prezydent Johnson twierdzi, iż problemy Wietnamu i Dominikany zajmują mu 80 proc. jego czasu. „Jeśli tyle czasu zajmują mu tylko dwa problemy — powiedział Czou En-lai — to co się stanie, kiedy będzie miał do czynienia z trzecim?”.

* Duńscy wypiją przeciętnie 3,5 miliona butelek piwa dziennie. Ze względu jednak na trwający strajk piwowarów przypuszczają się, że po raz pierwszy w historii sweego kraju Duńczycy będą zmuszeni spędzić Zielone Świątki bez ulubionego napoju.

Oryginalność to sztuka zapamiętywania danych. Powiedzieć, które się usłyszało a zapamiętać od kogo się je usłyszało.

DANY KAYE
amerykański komik

SOBOTA
5 czerwca

* Po wielodniowych dyskusjach OPA uchwaliło utworzenie misji, złożonej z przedstawicieli trzech państw, z zadaniem przywrócenia pokoju w Dominikanie drogą mediacji. W skład misji wchodzi przedstawiciele USA, Brazylii i Salwadoru. Przeciwno wojoskowi głosowali — Urugwaj i Meksyk.

* Szef prasowego japońskiego biura min. spraw zagranicznych oświadczył, że rząd Japonii „zupełnie nie wie co robić” wobec faktu, iż rybacy



Nowa twarz w bońskim Panteonie.

syk, a Chile, Argentyna i Wenezuela wstrzymały się od głosu.

Kaliforni są zachęcani do pikietowania japońskich placówek i sklepów, sprzedających towary japońskie. Dodał on również, że spór w sprawie rybołówstwa oraz sprzeciw amerykański skierowania japońskich łodzi lotniczych trasami nad terytorium USA, wypłynął z pewnością na konferencji japońsko-amerykańskiej, która odbędzie się 12 lipca br. w Waszyngtonie.

CZWARTEK
3 czerwca

* W Belgradzie podano do wiadomości, że obroty handlu zagranicznego między Jugosławią i NRD osiągnęły w bieżącym roku 175 milionów dolarów, zgodnie z umową handlową podpisaną przez oba te kraje 2 czerwca br. w Belgradzie. W ub. roku obroty handlowe między Jugosławią i NRD wynosiły sumą 135 milionów dolarów.

* Senator Paul Douglas, demokrat z Stanu Illinois, w przemówieniu wygłoszonym w Senacie wyraził przekonanie, iż rząd USA powinien skorzysta z środków „jakkie ma pod ręką”, aby pociągnąć za sobą osłabienia Ameryki. Stany Zjednoczone — podkreślił Douglas — „nie mogą stać lekceważące rzeczywistości i muszą uznać, że de Gaulle dał już dość do-

Pokój nie jest parcelą, którą można dowolnie dzielić.

LAL BAHADUR
SHASTRI
— premier Indii

POLOINICA

BACZKO
I KOLAKOWSKI

„Literarni Noviny” (z 29 kwietnia br.) zamieściły bardzo przyjemną wzmiankę o książkach dwu naszych filozofów średniej generacji: o książce Bronisława Baczko „ROUSSEAU: SAMOTNOŚĆ I WSPÓLNOTA” i

KRYSTYNA ZIELIŃSKI
W GALERII LONDŃSKIEJ

Otrzymał katalog z wystawy łódzkiego artysty Krystyna Zielińskiego w londyńskiej „Gravewall gallery”. Katalog zawiera dwie reprodukcje, krótkie curriculum vitae

WIERSZE POLSKIE
W NOWYM PIŚMIE

W Monachium zaczęto ukazywać się nowe czasopismo pt. „Snoob” (miesięcznik dla panów), na bardzo pięknym papierze i z wirtuoznymi ilustracjami w tekście. Trzeba zre-

ANTOLOGIA POEZJI
POLSKIEJ W SZWECJI

Donosiliśmy przed paru laty o antologii poezji polskiej, która ukazała się w Szwecji. Obecnie otrzy-

Leszka Kolakowskiego „ŚWIADOMOŚĆ RELIGIJA I WIEŻ KOSCIELNA”. Autor notatki wyraża przekonanie, że obydwie książki, które zalecają się wiedzą, rzetelnością i dobrym piśmstwem, zdobędą sobie uznanie nie tylko w Pol-

malarsza oraz widać, że w której Norbert Lynton omawia narodziny nowoczesnego malarstwa, a także poświęca kilka słów Krystynowi Zielińskiemu, stwierdzając, że ojcem

szła zauważyć, że ilustracje te graniczą z pornografią, choć redakcja zastrzegła się, że pragnie tego uniknąć. Naszą uwagę zwraca fakt, że w tym pierwszym numerze znaj-

maliliśmy wiadomość, że przygotowuje się drugie wydanie tej antologii. Przypominamy, że z po-

sce, ale zapewne i w innych krajach. Dotyczy to zwłaszcza książki Leszka Kolakowskiego, który po poprzednich pracach, przeznaczonych na języki obce, zdobył sobie już nazwisko w świecie.

chrześcijaństwa jego sztuka jest Władysław Strzemiński. Odnawiamy ten fakt z radością jako jeszcze jeden dowód na to, że sztuka polska budzi zainteresowanie za granicą.

dują się dwa erotyki polskich poetów: Kazimierza Przerwy-Tetmajera i Elżbiety Żechenter, obydwa w przekładzie Karla De-ciusa.

tów mieszkających w Łodzi, uwzględniono w niej wiersze Jerzego Waleńczyka.

POLOINICA

trudności z wydaniem swoich prac, ale ludzie młodzi, którzy muszą ograniczać się do możliwości lokalnych, często bardzo długo, zbyt długo, czekają na publikację.

Prof. dr G. MISSALOWA: Naukowe środowisko historyczne w Łodzi kształtuje się w oparciu o pracowników czterech instytucji badawczych: Instytutu Historycznego Uniwersytetu, Archiwum Państwowego w Łodzi, Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego i Muzeum Włókiennictwa. Instytut Historyczny skupiający katedry historii Polski i powszechnej góruje nad pozostałymi wspomnianymi instytucjami liczącą kadry naukowe i zakres wielostronnych prac naukowych i dydaktyczno-naukowych, związanych ze społeczną funkcją Uniwersytetu. Najściszej wiążą współpracę „na co dzień” łączą Instytut Historyczny z Archiwum, z Muzeum Włókiennictwa i Muzeum Ruchu Rewolucyjnego mają raczej charakter sporadyczny choć przyjazny. Istnieje nadto bliskie perspektywy znacznego ich pogłębienia.

Prace katedr historycznych koncentrują się wokół kilku podstawowych zagadnień. Nie sposób wyliczyć wszystkie. Żywy jest np. nurt badań nad historią osadnictwa na ziemiach dzisiejszego okręgu łódzkiego i ziem przyległych, historii gospodarstwa wiejskiego, a Zakład Historii Wsi i Ruchu Ludowego XIX i XX w. prowadzi interesujące prace nad uwłaszczeniem chłopów w Królestwie i początkami ruchu ludowego. Najściszej z charakterem naszego miasta i regionu związane są wieloletnie studia nad genezą przemysłu włókienniczego, kształtowania się klasy robotniczej Łodzi i Ziemi Łódzkiej oraz nad historią ruchu robotniczego na tym obszarze. Badania te od początku tj. od 1949 roku pomyślane były jako jedno z podstawowych ogniw ogólnokrajowych prac zmierzających do poznania początków polskiego kapitalizmu oraz jego rozwoju we wszystkich okresach historycznych aż po rok 1945. W ten sposób zresztą pojmuję środowisko łódzkie zadania badań regionalnych.

Organem naukowym środowiska łódzkiego jest Rocznik Łódzki powstały w 1928 roku a reaktywowany w 1958. Wydaje go Rocznik Oddział Łódzki Polskiego Towarzystwa Historycznego, organizacja skupiająca większość łódzkich historyków.

Zespoły specjalistyczne łódzkich historyków przygotowane są merytorycznie i metodologicznie do opracowania syntezy dziejów Łodzi i okręgu na szerokim tle historii całego kraju. Wydawnictwo to zaplanowane przed kilkoma laty, zahamowane zostało decyzją centralnych władz wydawniczych. Jesteśmy przekonani, że te administracyjne przeszkody zostaną usunięte i Łódź analogicznie jak i inne ważne polskie regiony, doczeka się historii swego rozwoju i oceny swej roli w dziejach narodu. Należy, sądzę, uznać za nieunikniony, ale i pozytywny fakt rozszerzenia przez wiele katedr zakresu terytorialnego swych badań. W ostatnich tygodniach — wobec powołania przez Komitet Nauk Historycznych PAN Komisji do badań historii przemysłu na ziemiach polskich i na skutek wewnętrznego podziału pracy między środowiska uniwersyteckie — w Łodzi skoncentrują się prace badawcze i organizacyjne nad dziejami przemysłu włókienniczego w skali ogólnopolskiej. Prace te pragniemy prowadzić przy współpracy z katedrami ekonomii, geografii gospodarczej i socjologii, przedyskutować metody pracy, wymienić doświadczenia warsztatów badawczych. Niejednokrotnie potrzebna nam będzie pomoc katedr zajmujących się techniką włókiennictwa na Politechnice Łódzkiej i w Instytucie Włókien Sztucznych. Wiemy już dziś, że na te konsultacje liczyć możemy zawsze.

Oczywiście, trudności nie omijają i naszego środowiska, dotyczą zaś głównie spraw wydawniczych. Rocznik Łódzki natrafia na chroniczne trudności finansowe (z wyjątkiem numerów wydawanych na zlecenie), a jest to przecież jedyny organ, który publikuje artykuły i mniejsze rozprawy młodych historyków. Marzymy o sytuacji, kiedy mielibyśmy zapewnić subsydia stałe, które pozwoliłyby nam — bez nieustannych zabiegów, spokojnie oddać się pracy redaktorskiej, oraz zainicjować wydawanie planowanej Biblioteki Ziemi Łódzkiej.

Całokształt prac badawczych środowiska łódzkiego wywołuje pewne potrzeby zmian organizacyjnych w strukturze Instytutu Historycznego UL. Wyszłyby zostały dwie interesujące koncepcje: 1. powołania Katedry Historii Współczesnej, co odpowiada w jakimś stopniu szerokim zakresowi zainteresowań społecznym obserwowanym zresztą na całym świecie, 2. zorganizowanie katedry historii kultury. Ten ostatni projekt nie wymaga, sądzę, w tym gronie żadnego uzasadnienia.

Dr J. KULPIŃSKA: Pragnęłabym powiedzieć parę słów o znaczeniu badań regionalnych. Trudno liczyć na skuteczne konkurencje w Warszawie, choćby ze względów wydawniczych. Dla ośrodków pozostających w powąhaniu zainteresowania, gdy skoncentrują swoje zainteresowania na ważnych i interesujących dany region sprawach. Wydaje się, że studia regionalne umożliwiają wyjście ponad lokalne potrzeby, a ponadto stwarzają możliwości w zakresie integracji poszczególnych dyscyplin naukowych. Np. powołanie Komisji Ogólnopolskiej Historycznej, ale z udziałem przedstawicieli innych dyscyplin, o której wspominała pani prof. Missalowa, sprzyja rozwiązywaniu konkretnych problemów naukowych. Przykład z „własnego podwórka”: obecnie w Łodzi istnieje cztery katedry socjologiczne i każda z nich rozpraszala swoje zainteresowania, gdyby nie to, że wszyscy skupiamy się na pewnych badaniach regionalnych. Specjalizacja nauk zaszła bardzo daleko i każda katedra ma własną, odrębną problematykę, ale wszystkie mają wspólny przedmiot — region łódzki. To samo dotyczy współpracy między różnymi dyscyplinami — ekonomia, socjologia, historia itd. Oczywiście problematyka regionalna wobec istniejących trudności wydawniczych winna mieć zapew-

nione znacznie szersze możliwości publikacyjne w Łodzi.

Dr Z. PROCHOWSKI: Przedmiotem badań łódzkiego środowiska ekonomicznego jest w znacznym stopniu problematyka związana z miejscowym regionem. Bada się zagadnienia bytowe, przemysł, zastosowanie różnych metod zarządzania, przede wszystkim na łódzkim terenie. Trudności wydawnicze powodują przesunięcie zainteresowań naukowców w kierunku zagadnień o charakterze bardziej teoretycznym, bardziej ogólnym. Książki, które były wydane przez ekonomistów z łódzkiego środowiska, są tego wymownym dowodem. Problematyka regionalna, szczególnie dla młodych pracowników nauki, jest również nieatrakcyjna z uwagi na trudności z opublikowaniem takich prac na łamach pism centralnych. Mielibyśmy na terenie naszego regionu kwartalnik — „Łódzkie Czasopismo Gospodarcze”. Istniało ono trzy lata i odegrało bardzo poważną rolę dla regionu. Zamieszczono na jego łamach cały szereg artykułów charakteryzujących sytuację gospodarczą województwa łódzkiego i Łodzi, które w wielu wypadkach wpłynęły na kształt decyzji gospodarczych. Trudności papierowe doprowadziły do likwidacji pisma i do tej pory nie można go reaktywować. Jest to wielka strata dla naszego środowiska. Roczniki tego czasopisma są już dzisiaj wykorzystywane do porównań międzyregionalnych.

Wielu naszych ekonomistów próbuje z konieczności swoich sił na łamach, również regionalnego, krakowskiego kwartalnika ekonomicznego. A przecież stać jest nasze środowisko, aby takie czasopismo wychodziło również w naszym ośrodku. Potrzeby są bardzo duże.

Niektórzy pracownicy nauki Wydziału Ekonomicznego są członkami Rady Naukowej Województwa. Rady, którą uważa się za „żyjącą”. Pragniemy utworzyć i jest ku temu szansa, rodzaj roczników Łódzkiej Rady Naukowej dla woj. łódzkiego, z tym, że pragniemy również publikować na ich łamach prace dotyczące Łodzi. W ostatnim czasie opracowany został materiał dla Wojewódzkiej Rady Narodowej, który będzie opublikowany w książce o objętości 200 stron. Pracował nad nią zespół 11 autorów.

Trudności organizacyjne i inne, z którymi się borykamy, wynikają między innymi z tego, że mamy dwóch gospodarzy — Łódź i województwo, którym jak dotąd ciężko jest się sobą porozumieć w sprawie jakiegos skutecznego i przemysłowego poparcia inicjatyw Rady Naukowej. Od jakiegoś czasu walczymy o zabezpieczenie sobie pewnej ilości arkuszy papieru na rodzaj jakiegos ciągłego wydawnictwa pod patronatem ŁTN. Rezultat naszych starań jest niestety niewiadomy.

Prof. dr G. MISSALOWA: Kontakty katedr Wydziału Ekonomii z Instytutem Historycznym są problemem otwartym. Np. związki katedry historii gospodarczo-społecznej przy Wydziale Ekonomicznym z naszymi katedrami właściwie nie istnieją. Świadczy to o jakichś niedomaganiach w procesie integrowania środowisk naukowych.

Doc. dr A. KŁOSKOWSKA: Rzeczywiście, obserwujemy podniesienie tu przez p. prof. Missalową zjawisko. O wiele żywsze bowiem bywały kontakty w obrębie tej samej specjalności z innymi miastami Polski, szczególnie z Warszawą, niż między katedrami poszczególnych regionalnych uczelni. Regionalizm jest b. istotny w procesach badawczych, on żywi, nasycia treścią nasze badania, ale nabiera sensu ogólnopolskiego wtedy, kiedy umiejscawia się go w ramach ogólnych, kiedy jest naszym wkładem do badań nad Polską. Z drugiej strony jest coś niedobrego w tych powiązaniach tylko branżowych. Istnieje potrzeba przełamania istniejących barier, a może to nastąpić drogą wymiany myśli na łamach jakiegos integrującego czasopisma. Czasopisma są niezbędne nie tylko z punktu widzenia możliwości wydawniczych, ale również jako czynnik łączący różne specjalności naukowe. Gdyby powstało np. pismo społeczno-ekonomiczne albo jakieś społeczno-kulturalne bądź historyczno-społeczne proces integracji miałby szansę powodzenia. Takie zbiorowe inicjatywy wydawnicze były już podejmowane, ale niestety, bez trwałych efektów, a szkoda, bowiem z jednej strony byłoby to czynnik inspirujący wspólne badania, z drugiej zaś to przedsięwzięcie wydawnicze pozwoliłoby na prężniejszy rozwój miejscowego ośrodka naukowego.

Dr J. KULPIŃSKA: Gdyby tak Wydawnictwo Łódzkie zorganizowało jakiś druk ciągły artykułów skupionych wokół jakiejś wspólnej międzydyscyplinarnej problematyki? To by mogło odgrywać rolę integrującej krag autorów i czytelników z różnych dyscyplin. Wydawnictwa seryjne mają powołanie, trzeba by tylko skrócić okres wydawania i podejmować problemy ważne i atrakcyjne.

Doc. dr B. LEWICKI: Chociaż nieupoważniony, mówię w pewnym sensie w imieniu pracowników nauki zgromadzonych na Wydziale Filologicznym. Nie są oni zainteresowani badaniami regionalnymi sensu stricto — z wyjątkiem badań językoznawczych (dialektologia, zakłady prof. Hrabca i prof. Dejny). Zdarza się w badaniach poszczególnych zespołów katedrowych te-

matyka typu regionalnego, nie posiada ona jednak, i nie może posiadać charakteru kierunkowego, wiodącego. Prowadzone w łódzkich pracowniach filologicznych badania nastawione są na szeroki zakres zainteresowań — co jest i naturalne i logiczne. I tu zwrócić należy uwagę na wyczuwalny pęd do szlachetnej emulacji, do wysunięcia się na czoło polskiej humanistyki. Bliskość Warszawy z jej środowiskiem uniwersyteckim i z jej przelicznymi pracownikami Akademii Nauk, zaostrza owe tendencje emulacyjne. Chodzi po prostu o to, że humanistyka łódzka nie zajmuje żadnej drugorzędnej pozycji w stosunku do humanistyki stołecznej. Myślę, że jest to objaw bardzo zdrowy. Pozostaje wszakże praktyczna strona tego zagadnienia — mianowicie: możliwość publikowania prac naukowych, zwłaszcza młodych pracowników; adiunktów, asystentów, doktorantów. W Łodzi wydawany jest wprawdzie jeden z najoryginalniejszych periodyków humanistycznych na świecie — „Zagadnienia Rodzajów Literackich”. Łamy jego jednak okupowane są w praktyce przez uczonych różnych krajów. Inne periodyki: „Prace Polonistyczne” i „Zeszyty Naukowe UL” nie wystarczają również, by pomieścić powstające w Łodzi prace naukowe. W rezultacie młodzi łódzcy naukowcy muszą dobijać się prawa publikacji na łamach naukowych periodyków warszawskich —

wego i artystycznego. Możliwości takie na terenie łódzkim istnieją. Warunek wstępny jednak jest taki: — Łódź uzyska odpowiednią możliwość wydawniczą. Jeśli tej możliwości łódzki pracownik naukowy w mieście swym nie znajdzie, nie nie zatrzyma intelektualnej emigracji do Warszawy. Niedobrze byłoby, gdyby Łódź została dla naukowców tylko miejscem zamieszkania i pobierania pensji.

Dr Z. SPIERSKI: Dużo miejsca w naszej dyskusji zajęły sprawy wydawnicze. Odnosząc wrażenie, podzielane tu chyba przez wszystkich, że możliwość publikowania prac naukowych stanowi jeden z najważniejszych czynników decydujących o żywotności środowiska naukowego. W tej dziedzinie Wydawnictwo Łódzkie stara się wykorzystywać wszystkie posiadane możliwości. Padł tutaj głos postulujący publikowanie serii wydawniczej w postaci zbiorów artykułów dotyczących jakiejś problematyki. Otóż Wydawnictwo Łódzkie opublikowało „Studia i materiały do dziejów Łodzi i okręgu łódzkiego” oraz „Życie społeczno-gospodarcze Łodzi i województwa łódzkiego” (w opracowaniu redakcyjnym jest drugi tom „Studiów”; powinien ukazać się także trzeci). Sądzę więc, że początek został już zrobiony, że obie te publikacje powinny ukazywać się systematycznie — pierwsza poświęcona problemom przeszłości, a druga teraźniejszości Łodzi i województwa. Innym przykładem publikacji, nazwijmy ją kompleksową, jest monografia „Włókienniarze łódzcy”, która ukaze się w połowie przyszłego roku.

Aktualne możliwości Wydawnictwa Łódzkiego w zakresie publikacji prac naukowych są bardzo skromne. Dzisiejsza dyskusja ukazuje potrzebę szerokiej i dojrzałej przemysłowej popularyzacji prac łódzkiego środowiska naukowego, by wykazać, że to, co się u nas robi, nie ma cech prowincjonalizmu, że w Łodzi powstają prace o znaczeniu ogólnokrajowym, będące trwałym dorobkiem nauki polskiej. W tym kontekście uzasadniona wydaje się potrzeba rozwoju Wydawnictwa Łódzkiego w podwójnym sensie — ilościowym i tematycznym. Często spotykamy się ze stanowiskiem sugerującym nam zawężenie, a ściślej mówiąc, kontentowanie się aktualnym profilem wydawniczym. Mamy wydawać powieści współczesne i poezję, literaturę społeczno-polityczną o szerokim zaadresowaniu, a z poważnymi pracami naukowymi jest już kłopot. Sądzę, że nasza dyskusja wykazała, iż w działalności Wydawnictwa Łódzkiego publikowanie prac naukowych nie powinno być tylko marginesem, że nawet rozszerzenie tego marginesu jest na dłuższą metę niewystarczające.

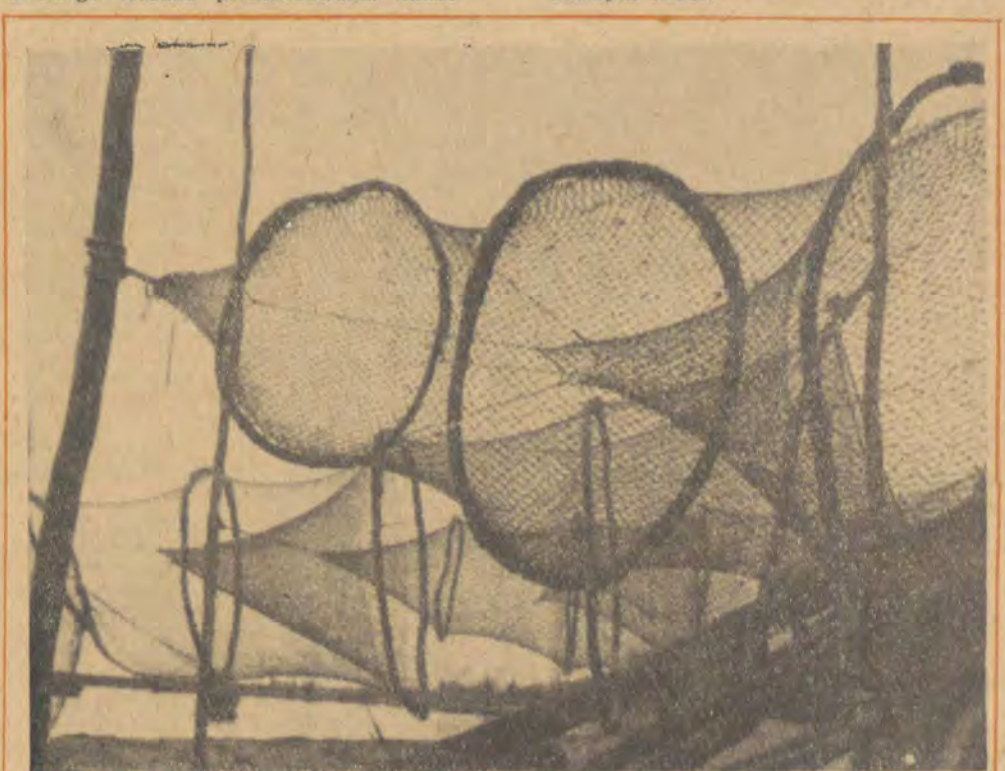
Planujemy znaczne zwiększenie naszej produkcji wydawniczej. W bieżącej pięcioletce (do roku 1970) chcemy osiągnąć wzrost o około 100 procent. Już plan na rok 1966 zakłada wydanie więcej tytułów, niż w każdym roku poprzednim. Jeśli zamiary nasze staną się realne, co zależy od szeregu czynników (przede wszystkim od przydziału papieru i środków finansowych), to ilość publikacji naukowych Wydawnictwa Łódzkiego znacznie wzrośnie. Oczywiście, mam na myśli publikacje o szerszym znaczeniu społecznym. Prace zbyt wąskie tematycznie powinny ukazywać się w wydawnictwach wyspecjalizowanych.

ODGŁOSY: Dziękujemy Państwu serdecznie za udział w tej ciekawej i, jak się okazało, bardzo pożytecznej dyskusji. Mielny nadzieje, że wysunięte tu postulaty zostaną przynajmniej w części, zrealizowane w najbliższym czasie.

przeważnie bezskutecznie. Jeszcze gorzej wygląda sprawa z publikowaniem prac typu dzielowego. Warszawa bliska wprawdzie, ale nielaskawa, a „Wydawnictwo Łódzkie” ograniczone zostało do serwitutów regionalnych. Bardzo niedobrze również przedstawia się możliwość wydawniczej Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, gdzie stacza się heroicznie — często przegrane — boje o każdy arkusz możliwości wydawniczych.

Problematyka możliwości wydawniczych, stanowiąca podstawowy temat dzisiejszej rozmowy w gościnnej redakcji „Odgłosów”, stanowi moim zdaniem klucz znacznie szerszego zagadnienia. Jest nim sprawa samodzielności kulturalnej Łodzi, jej oblicza i pozycji, jej wybitności. Myślę, że nie należałoby tolerować dłuższej sytuacji, w której Łódź traktowana jest jak odległe przedmieście stolicy. Są przecież tacy — nawet w środowisku naukowym — którzy uważają, że interesujące sprawy nauki i kultury mogą rodzić się i rozwijać tylko między Krakowskim Przedmieściem a Marszałkowską. Łódź zostawia się na pociechę — problematyka regionalna.

Sprawa jest ważna i pilna. Nasze deklaracje muszą pójść w kierunku stworzenia i utrzymania w Łodzi ambitnego i samodzielnego ośrodka promieniowania nauko-



Sieci. Fot. E. Haneman

ZYCIORYS FOTOGRAFICZNY

Moje sukcesy „artystyczne” do 1939 roku były raczej skromne: kilka razy brałem udział w konkursach i niewielkich wystawach amatorskich, lecz poza jedną III nagrodą na konkursie zorganizowanym przez firmę „Perutz” — w 1935 roku, nie odniosłem większych sukcesów — mimo, iż coraz wytrwale zajmowałem się fotografowaniem. Wzorem niedoścignionym i pierwszym mistrzem, który pokazał mi drogę, po której należy iść był niezapomniany Jan Bulhak. On też pierwszy w swojej publikacji na temat „fotografii artystycznej” w 1939 roku, na łamach „Nowości Fotograficznych” — umieścił moje nazwisko wśród zaawansowanych i poważnych twórców w tej dziedzinie.

Następnym moim mistrzem i nauczycielem był od roku 1938 wielki nowator, postępowiec — inżynier Marian Dederko, dziś Nestor fotografików polskich, dzięki któremu poznałem i opanowałem arkaną sztuki fotograficznej. On, jak również i jego syn — Witold — dali mi solidne podstawy, na których mogłem się opierać i operować do dziś.

W roku 1948 dostałem drugą nagrodę na wiel-

kim Konkursie Ministerstwa Kultury i Sztuki za pracę pt. „Powstanie”. W roku następnym — nagroda na wystawie „Pokój zwyciężył” oraz „Łódź w fotografii”. Biorąc udział w pierwszych Festiwalach Sztuk Plastycznych w Sopocie oraz w wielu innych wystawach organizowanych przez mój Związek macierzysty, jak też i przez organizacje pokrewne, tak w Polsce jak i w świecie. Nie sposób je tu wszystkie wymienić, wystarczy, że wspomnę reprezentacyjną wystawę polską w Nowym Jorku w 1954 r. zaś w roku 1956 jedyną z moich prac, wspólnie z dwunastą innymi polskimi pracami, reprezentującą nasz kraj na wielkiej międzynarodowej wystawie „Photokina 56” w Kolonii.

W końcu tego, 1956 roku, uzyskuje pierwszą, drugą i szóstą nagrodę na międzynarodowym konkursie w Berlinie.

W roku 1957 zostaje odznaczony przez Międzynarodową Federację Sztuki Fotograficznej — FIAP — honorowym tytułem „Artiste FIAP”, w skrócie AFIAP, co jest jednym z najwyższych odznaczeń nadawanych za osiągnięcia na polu fotografii.

EDWARD HANEMAN



POLSKIE STENY
SUCHEŃNÓW
15.V.1965
SEMINARIUM
HISTORYCZNE
ZBOWID

Dalszy ciąg ze str. 1

Jacego opodal równym ściegiem rozdarła wszystkie deski w furcie tuż nad głową „Bronka”. Gdy ponownie poderwał się do biegu, zobaczył żandarmów otaczających go półkolem. W „Visie” nie miał już amunicji. Chwila rozpaczy i nagła decyzja; wyszarpnął z kieszeni granat zwany „knotówka” i rzucił pod nogi nadbiegającym. Żandarmi przywarli do ziemi nie wiedząc, że granat nie wybuchnie, ponieważ „Bronka” nie miał czasu, by podpalić zapalnik – (był to jedyny sposób używania tego rodzaju granatów produkowanych konspiracyjnie). Leżeli więc nieruchomo i czekali na eksplozję, a tymczasem Sianoszek „wiał” ile sił w nogach. Niebawem zniknął pomiędzy domami osady.

Strzały ucichły. Aresztowanym, leżącym pokodem na dziedzińcu, Niemcy kazali powstać. Do samochodu niesiono trzech zabitych żandarmów. Spoza drzew ogrodu wyłonił się pośpiech patrol. Nikogo nie prowadził. Kilku wtajemniczonych pracowników fabryki odczekało z ulgą. Byli pewni, że „Bronka” zdołał przedrzeć się przez kordon otaczający firmę i osadę. Może zawiadomi kogo trzeba o „nalicie” na firmę?

Niemcy szaleli, ale dalsza rewizja nie przyniosła im już żadnych sukcesów. Przed zmierzchem zrezygnowali z przeszukiwania, zwolnili robotników i w pośpiechu opuścili teren fabryki. Ludzie później mówili, że dowiedzieli się o koncentracji partyzantów „Ponurego” w Świerżynie i Leśniku i dlatego stchórzyli. Zabrali jedynie ze sobą kilku aresztowanych urzędników i majstra Winiarskiego. Po kilku dniach z Kielec wypuścili trzy kobiety i jednego mężczyznę. Pozostali: Jerzego Hskenberga, Bogdana Kosińskiego, Mieczysława Pospiechyńskiego, Mariana Spychaję, Eugeniusza Winiarskiego i inż. Walerego Zielezińskiego wraz z aresztowanym w listopadzie dyrektorem fabryki Stanisławem Olbrychem wywieźli do Oświęcimia. Winiarski i Zieleziński mieli już z obozowej tułaczki nigdy nie powrócić.

Te październikowe wydarzenia i najazd żandarmów na Suchedniów zdekonspirowali częściowo przed załogą Firmy Tańskich i S-ki tajemnicę, którą kryły dotąd przed ciekawskim okiem warsztaty rolnicze. Ludzie ze sposobu śledztwa zorientowali się, że Niemcy szukali „Stenów”, które „nie spadły z nieba” za pośrednictwem alianckiego lotnictwa, lecz były produkowane właśnie w miejscowej fabryce maszyn. Niewiele jednak wiedzieli, kto i w jaki sposób wykonywał broń.

„Tajemnicę” poznaliśmy w pełni dopiero niedawno, podczas historycznego seminarium, urządzonego w Suchedniowie staraniem Okręgowej Komisji Historycznej ZBoWiD w Kielcach, z udziałem pracowników Zakładu Historii i Wojny Światowej przy Polskiej Akademii Nauk, Wojskowego Instytutu Historycznego i Uniwersytetu Warszawskiego, przedstawicieli Głównej Komisji Historycznej ZBoWiD oraz Komisji Okręgowych z Krakowa, Rzeszowa, Łodzi, Wrocławia i Warszawy, a także byłych dowódców Konspiracyjnych Zespołów Produkcji Broni i Amunicji z całego niemal kraju.

Tymczasem z konieczności ograniczam się do reporterskiej skróconej relacji o „Stenach”, które „nie spadły z nieba” i o ogromnym patriotycznym poświęceniu robotników i inżynierów, którzy dobrowolnie przyjęli na siebie ciężki obowiązek walki z okupantem nie wdziewając partyzanckiego munduru.

Zacznę od fragmentu wspomnień najmłodszego wiekiem uczestnika suchedniowskiego Zespołu Konspiracyjnej Produkcji „Stenów” – Józefa Skrobota.

„Pamiętam, tej nocy pracowaliśmy wszyscy razem. Przyszła do nas pani Janeczka (siostra inż. Czerniewskiego – przyp. mój) i poprosiła nas do domu inżyniera. W pokoju, w którym znaleźliśmy się, był półmrok... Siedziałem wśród takich fachowców jak Józef Kazimierski, Feliks Zolbach, Jan Miernik, Marian Spychaj, Julian Switek, Andrzej Wielechowski, Janina Czerniewska, inż. Mieczysław Laure... W pewnym momencie dostaliśmy rozkaz od inż. Czerniewskiego wejść pod łóżko. Schyliłem się i... uderzyłem głową o łóżko na widok tego co ujrzałem: pięć sztuk pięknych, nowych, lśniących pistoletów maszynowych na wzór angielskiego Stena. Wzruszony podałem je obecnym w pokoju, a oni dumnie podawali sobie z rąk do rąk. To był nasz pierwszy dorobek... Wtedy też za nasze Steny wypłynęliśmy pierwszy w życiu kieliszek wódki...”

Kim byli ci wymienieni we wspomnieniu pracownicy Firmy St. Tańskich i S-ka produkującej maszyny rolnicze dla Niemców i jak to się stało, że pod boki okupanta podjęli tak niebezpieczną grę? Dlaczego wybrano Suchedniów, osadę (dziś już miasto) leżącą wprawdzie pomiędzy dwoma kompleksami lasów, lecz przy głównej szosie wiodącej z Warszawy przez Kielec do Krakowa i przy linii kolejowej Skarżysko – Kielec, a więc w miejscu często kontrolowanym przez okupanta i z tego powodu niebezpiecznym?

– Przedsiębiorstwo „Zakłady Przemysłowe St. Tańskich i S-ka w Suchedniowie” powstało w 1938 r. Właścicielami byli Maria, Stanisław i Tadeusz Tańscy oraz Bronisław Skalski. Początkowo fabryczka zajmowała się produkcją pomocniczą dla pobliskich dużych zakładów zbrojeniowych w Skarżysku i Starachowicach oraz produkcją narzędzi na rynek prywatny. Tuż przed wojną produkowano u Tańskich korpusy do lotniczych bomb oświeblających i specjalnych, narzędzia wyposażenia pomocniczego armat i klucze francuskie. Po zakończeniu działań wojennych w 1939 roku fabryka przeszła na produkcję dla rolnictwa, wykonując bańki i odstojniki na mleko, młocarnie sztyftowe i szerokolotne, sieczkarnie, wialnie, kłasy i wozy chłopskie. W maju 1940 roku właściciele fabryki Maria i Stanisław Tańscy zostali rozstrzelani w Radomiu. Bronisław Skalski zdołał zbiec do Związku Radzieckiego. Gestapo lubelskie osadziło w więzieniu Tadeusza Tańskiego. W tym okresie fabryka przeszła trudną walkę o utrzymanie kierownictwa w rękach polskich. Został utworzony społeczny zarząd zakładów. W jego skład wszedł m. in. inż. K. Czerniewski, dr Witold Pozniński, a po wyjściu z więzienia także Tadeusz Tański i jego żona Maria. Załogę stanowiło stu kilkudziesięciu pracowników, w tym wielu doskonałych fachowców, którzy schronili się w Suchedniowie nie chcąc pracować w niemieckim przemyśle zbrojeniowym w Skarżysku, Starachowicach i Radomiu. W ten sposób stworzyli się możliwości do pracy na potrzeby walki z okupantem zwłaszcza, że współpracą z partyzantami datała się od początku wojny. Przez „lasy i wertepy” Świętokrzyskie wiodły drogi partyzanckie oddziału Wojska Polskiego majora Dobrzańskiego „Hubala”. Nie jeden raz żołnierze, którzy nie złożyli broni i chcieli „na ostrzach bagnów” wolności nieść jutrzeńkę, popesali opodal Suchedniowa. Wówczas Stanisław Tański przy nosił do warsztatów uszkodzoną broń i dawał robotnikom do naprawy. Pomagał więc „Hubalczykom” jak umieli i jak mogli w ich walce. Potem padł w boju major „Hubala”, a Tańskich rozstrzelali gestapowcy. Mimo to, grupa wtajemniczonych robotników, miała nadal pełne ręce roboty. Naprawiano i uzupełniano ukradkiem w fabrycznych warsztatach broń każdemu, kto ją przynosił. Kierowano się zasadą: „kto

ją przynosi, chce walczyć”. Rzeczą robotnika metalowca jest w tym pomóc...”

– Pojawiając się w Lasach Świętokrzyskich na przełomie 1942/1943 roku – jak przysłowiowo grybów po deszczu – oddziały partyzanckie odczuwały dotkliwy brak pistoletów maszynowych, broni bardzo skutecznej w walce prowadzonej z zasadki, na niedużą odległość. Zrzuty odbywały się rzadko. A jeśli były, to broń „szła” na placówki. W tej sytuacji ówczesne dowództwo kieleckiego KEDYU-u oraz kpt. Jan Piwnik ps. „Ponury” dowódca głośno już wówczas na Kielecczyźnie oddziału, w porozumieniu z inż. Kazimierzem Czerniewskim ps. „Korebko”, byłem pracownikiem Biura Studiów Fabryki Amunicji w Skarżysku, postanowili podjąć produkcję takiej broni w warunkach konspiracyjnych. Wybór padł na „Stena”. Była to broń prosta w konstrukcji i mimo przeróżnych wad, najłatwiejsza do skopowania. Zresztą te wady usunięto w trakcie produkcji i „Sten” z podziemia, mimo lewoskrętnego gwintu w lufie (oryginalny „Sten” miał gwint prawoskrętny), innego magazynku i kolby, do złudzenia przypominał broń zrzutową. Na dobitkę dla zmylenia Niemców – (na wypadek, gdyby taka broń wpadła w ich ręce) – producenci konspiratorzy wytłaczali na „Suchedniowskich Stenach” znaki angielskie i wielocyfrową numerację. W rzeczywistości numeracja była zaszyfrowanym kodem wyjaśniającym pochodzenie, rok produkcji i kolejność wykonania danej sztuki broni. Nawet partyzanci otrzymujący takie „Steny” byli przekonani, że pochodzą one ze zrzutów, a wśród członków podziemnego zespołu ułarło się powiedzenie: „Niech szukają na niebie, a nie na naszej szarej, polskiej ziemi!”

Lecz nim partyzant z dumą przewiesił przez pierś „Stena” polskiej produkcji, najpierw pewnego dnia kwietniowego 1943 roku, do mieszkanka inż. Czerniewskiego musiał przysięść plutonowy „Albin” Albin Zolbach i spód płaszcza wyciągnąć oryginalnego „Stena”, który miał konstruktorstwo postać za pierwowzór. Rozbrano broń na części, inżynierowie niezwłocznie przystąpili do wykonywania rysunków poszczególnych elementów. Gotowe projekty odbijano na światłoczułym papierze lub na drukach niemieckich firm „Hasag”, „Hugo”, „Schneider” A. G. Skarżysko – Kamienna i „Herbert” Götting Werke A. G. Starachowice, a także innych, dostarczanych do Suchedniowa przez konspirację. Pomysł używania niemieckich druków okazał się „szatański”, ponieważ dzięki temu nie tylko stepiono czujność konfidentów, ale również w niektórych wypadkach zdobywano potrzebny materiał od Volksdeutsche’ów i nawet wykonywano podstawowe części np. zamki – w firmach niemieckich.

Trzydziestu jeden ludzi liczył zespół techniczno-produkcyjny konspiracyjny „Stenów”, do których części wykonywano w warsztatach firmy rolniczej St. Tańskich i S-ka, a które następnie montowano i oksydowano w mieszkaniu inż. Czerniewskiego. W tym czasie na strychu, nad mieszkaniem inżyniera siedzieli zaprzysiężeni partyzanci od „Ponurego” wraz z „Bronkiem” Bronisławem Sianoszką, gotowi każdej chwili przyjąć walkę, gdyby Niemcy wtargnęli na teren fabryki.

Trzy tygodnie, w ciągu których, konspiratorzy z Suchedniowa przeżyli niejedną dramatyczną chwilę, trwały gorączkowe prace nad próbnymi egzemplarzami broni. Wreszcie przyszedł dzień, kiedy w lesie opodal Bliżyna zaterkotały pierwsze „Steny”, wykonane przez robotników Firmy St. Tańskich i S-ka. Obecni w lesie dowódcy partyzanckiego oddziału „Ponurego” i cywile z Suchedniowa wsłuchiwali się z emocją w rytm grających peemów. Nie zawiodły, nie było ani jednego zacięcia. Można było przyjąć – jeśli o takiej w ogóle można było mówić – do masowej jak na owe czasy produkcji.

Tymczasem w suchedniowskich warsztatach gorączkowo kończono pierwszą serię 5 „Stenów”. Jakże emocje przeżywali wówczas konstruktorzy i wykonawcy – odnotował w swych wspomnieniach Józef Skrobota. Teraz już coraz częściej wyjeżdżała wieczorem z fabryki furmanka załadowana skrzynkami na gwoździe, w których znajdowała się amunicja do pistoletów maszynowych i suchedniowskie „Steny”. Amu

nicy produkowano osobno w różnych punktach z elementów „kradzionych” przez robotników w fabrykach niemieckich w Skarżysku i Starachowicach. Oczywiście, że każde takie przekazanie broni partyzantom stało się pasjonującą kartą w nie napisanym do dziś pamiętniku. Lecz my zatrzymamy się dopiero przy jednej z ostatnich kart. Należało ją napisać dwa, lub trzy dni przed pamiętnym 26 października 1943 roku. Brzmiałyby tak:

– O produkcji „Stenów” robi się coraz głośniejsze. „Biuletyn Informacyjny” podał zupełnie nierozważnie wiadomość o rozpoczęciu jej w kraju. W oddziale partyzanckim „Ponurego” większość żołnierzy wie o „Stenach” pochodzących. Na szczęście poza garstką wtajemniczonych nikt nie zna nazwisk producentów. Także Niemcy coraz bardziej obserwują firmę Tańskich i S-ka. Któregoś ranka, około godziny 5, dosłownie w chwilę po zgaszeniu światła, pod dom inż. Czerniewskiego podkradło się kilku żandarmów, którzy następnie wycofali się nie przez portiernię, a przez furtkę używaną wyłącznie przez konspiratorów. Tej nocy właśnie produkowano części do peemów. Wreszcie, pewnego dnia przyjechał na teren fabryki samochodem oficer ps. „Motor” (z oddziału „Ponurego”), od pewnego czasu podejrzany o współdziałanie z Niemcami. Właśnie w fabryce trwał gorączkowy montaż 25 sztuk pistoletów maszynowych, które w nocy z 26 na 27 października miały być dostarczone do obozu „Ponurego” przez Stefana Nawrockiego vel Henryka Bazylicy ps. „Jurek”. Wiedział o tym doskonale „Motor”, więc jego pojawienie się podenerwowało wszystkich. W tej sytuacji inż. „Korebko”, jako dowódca konspiracyjnego zespołu, powziął decyzję przyspieszenia montażu i natychmiastowego dostarczenia broni partyzantom. W nocy z 25 na 26 października oddział stanowiący osłonę fabryki otoczył furmankę, na którą załadowano „Steny” i niebawem zniknął w czerniejących opodal lasach. Inżynier Czerniewski wyjechał do Warszawy, dla omówienia szczegółów związanych z dalszą produkcją. Inż. Mieczysław Laure przebywał w Skarżysku, gdzie w miejscowej komórkę konspiracyjnej organizował produkcję granatów. Olgierd Wiszniewski i Jerzy Herman rano wyjechali do Kielec z kompletem rysunków broni, by je dostarczyć zbrojnym oddziałom „Konradowi”. Siostra inż. Czerniewskiego – Janina była w Skarżysku i omawiała z inż. S. Domaradzkiem sprawy dalszej produkcji „Stenów” na zasadach kooperacji z tamtejszymi punktami podziemnej produkcji broni. Większość robotników zatrudnionych przy montażu ostatniej partii pistoletów poszła nad ranem do domów. Oficjalnie pracowali na nocnej zmianie i mieli dzień wolny. W ten sposób uniknęli aresztowania. O godzinie 14 minut 05 w Firmie Tańskich buszowali już żandarmi i gestapowcy.

Lecz najazd oddziału specjalnego na Suchedniów nie zamyka dziejów podziemnej fabryki polskich „Stenów”. Michał Dąbrowski, obecny dyrektor Zakładów Metalowych, w kilka tygodni po październikowych wydarzeniach wydobyl schowany w fabryce karabin maszynowy, wyniósł ukryte poszczególne części od „Stenów” i rozpoczął ich montaż w kuźni u konspiratora Sękowskiego. Rysunki przekazane do Warszawy przez inż. Czerniewskiego posłużyły za podstawę podjęcia takiej produkcji w Warszawie. A więc „Steny Suchedniowskie” nie zginęły. Padł natomiast od partyzanckiej kuli oficer „Motor”, który jak się okazało był pracownikiem gestapo i miał za zadanie rozpracowanie polskiej partyzantki. Częściowo mu się to udało. Wydał w ręce gestapo także inż. Czerniewskiego, gdy ten już ukrywał się w Warszawie. Naprowadził obławę na obóz partyzantów „Ponurego” powodując śmierć 23 młodych, dzielnych żołnierzy Polskiej Podziemnej. W końcu został rozpracowany przez wywiad konspiracyjny i wyrok na nim wykonano. Jego śmierć Niemcy „pomścili” masowymi aresztowaniami. Ale do końca nie udało się im rozszyfrować wszystkich członków podziemnego zespołu produkcji pistoletów maszynowych, które „wcale nie spadały z nieba”.

TADEUSZ SZEWEBA

*) Przy opracowywaniu niniejszego szkicu, prócz notatek poczynionych na Seminarium, wykorzystałem również fragmenty wypowiedzi inż. Kazimierza Czerniewskiego.

FELIKS BABOL

Pięćdziesięciu SMIAŁYCH

Można ich nazwać milicją strzegącą naszych żołądków i naszych kieszeni. Mają celność zagładać do kieliszków podawanych przez barmanów podpiętym gościom, mierzyć zawartość czystej kawy w pół czarnej, weszła w zawilościach rozliczeń między kuchmistrem a bufetem, przecinają zmywy personelu. Gdy się przyjrzyć ich pracy odnosi się wrażenie, że właściwie klient ma zawsze rację, ale przecież... najęźniej dopiero wtedy, gdy w obronę weźmie go PIH.

Tych 50 śmiałych to inspektorzy Państwa Inspekcji Handlowej w Łodzi. Podlegają co prawda temu samemu MHW co i zwykła ekspedientka, czy kierownik kawiarni, są kolegami z tego samego resortu, ale na służbie stosunki między sklepem a PIH nie są przecież ani siostrzane, ani braterskie. Wiadomo – inspektorzy są od tego, aby czuwać nad interesem klienta, a w praktyce handlu i usług ten interes jakże często narażony jest na szwank.

W Łodzi nie mówi się już w ostatnich latach o ulicznych zabudowanych domkami jednorodinnymi, wzniesionymi z lewych zysków, z kawy czy „chrzczonej” wódki, bystre oko PIH od czasu do czasu wypatrzy kant, co kilka tygodni wypłynie do sądu sprawa o oszustwo na szkodę klienta – nadal jednak straty społeczne ponoszone przez nas tylko w tych trzech rodzajach lokali – restauracjach, barach i kawiarniach są olbrzymie.

Z panią nacz. Wistawską w tych dniach próbowałem obliczyć ich wielkość i to tylko w odniesieniu do kawy. Jeśli przyjąć, że w w ciągu miesiąca zamiast przepisanych recepturą 250 tys. dużych kaw w Łodzi sprzedaje się, wykorzystując ten sam surowiec, około 325 tys. kaw, oznacza to, że różnica pomnożona przez przeciętną cenę dużej czarnej (powiedzmy 6 zł) tworzy niebłahą kwotę około pół miliona zł. Co miesiąc stanowi ona dodatkę do pensji kawiarni, bufetowych i kelnerów w łódzkich kawiarniach. Bo trzeba wiedzieć, że zgodnie z doświadczeniem i wynikami kontroli

przeprowadzanych przez owych 50 śmiałych – w kawie sprzedawanej w łódzkich kawiarniach, barach i restauracjach do normy (12 gram surowca na dużą kawę) brakuje jej od 30 do 50 proc.

* * *

Kontrolę są systematyczne, co kwartał bada się 200 potraw i 75 tzw. naparów kawowych. Pomaga w tych kontrolach i Inspekcja Sanitarna, a w wyniku z łódzkich restauracji i kawiarni zginęły już niemal bezpowrotnie gronkowce i paciorkowce, czyli bakterie pleniące się w brudzie tzw. zapleczka kuchennego, bakterie związane z brudnymi rękami personelu kuchennego i anty-sanitarnym stanem każdego zakładu żywienia zbiorowego.

– Dzisiaj – słyszę w PIH – może pan już spokojnie zamówić kolację sekany czy salatkę śledziową lub jarzynową. Jeszcze dwa lata temu w kolację tym był na ogół „przebiegły tygodnia” i bulka, a w salacie same kartofle. A więc w łódzkich restauracjach i barach jest już i zdrowiej i uczej więcej.

Ale walka o nasze żołądki i kieszenie trwa nadal. Niedawno przyłapano pewnego kierownika restauracji na gorącym uczynku wywożenia z restauracyjnej kuchni do domu 10 kg kartofli, co było początkiem kłębka, którego nici zaprowadziły do następujących faktów: kierownik zgodnie z ludowym powiedzonkiem („gdzie kto pracuje,

z tego żyje”) kradł tzw. surowce gastronomiczne zupełnie systematycznie, oprócz kierownictwa upośledzonego zakładu zajmował się jeszcze (już na własny rachunek) hodowlą zwierząt futerkowych, a po owe 10 kg upośledzonych kartofli zajeżdżał własnym samochodem osobowym.

W ubiegłym roku czwarta część zbitych potraw w łódzkich restauracjach i barach otrzymywała oceny tylko dostateczne, inspekcja nadal stwierdzała w nich duże odchYLENIA od wagi, jakości surowców, obróbki termicznej (spalone sznycle, surowe itp.), na 32 próby kawy w 16 stwierdzono, że surowca kawowego brakowało w nich aż połowę.

* * *

„Rzecz” w gastronomii polega na wygośpodarowaniu nadwyżek surowcowych, które potem można sprzedać w postaci wyrobów garmazeryjnych i potraw kuchennych na własny już rachunek, co stanowi dodatkowy obrót lokalu, ale obrót nigdzie nie zaksięgowany. „Podmieniam się” więc mięso gorsze i tańsze zamiast lepszego, na kotlety odważa się mniej, niż przewiduje receptura. Żeby zaś kotlet nie stracił na wielkość w oczach klienta, dodaje się bułki, skracza czas smażenia. Kelnerzy wystawiają też czasem dwa rachunki – jeden dla gościa, drugi do rozliczenia z kuchmistrem czy kierownikiem lokalu. Handluje się poza tym własną wódką. Na każdym litrze w lokalu i kat, ma się drugi litr



Koneserzy.

Fot. E. Haneman

NASZ OJCIEC ROOSEVELT

Dwadzieścia lat minęło od śmierci Franklina Delano Roosevelta — prezydenta St. Zjednoczonych. Cztery synowie i córka kreślą w swych wypowiedziach obraz ojca, odkrywając nieznane momenty z życia człowieka, który kierował jedną z największych potęg świata.

Elliot: — Noc wyborczą spędziliśmy razem z ojcem. Kiedy zaczęły się głosowania w poszczególnych okręgach, ojciec, który dotychczas nie przejawiał zdenerwowania, wyciągnął mapę Stanów i zaczął ją śledzić z przejęciem. O północy wiedział już, że wygrał.

Franklin: — Nasze rozmowy z ojcem, kiedy już był prezydentem, odbywały się tylko wieczorem, przed kolacją. Ojciec siedział na łóżku i masował sobie nogę, dookoła leżały, wlezione wydania gazet.

James: — Przez jakiś czas byłem sekretarzem ojca. Służbowo zwracałem się do niego przez „Panie Prezydencie”, ale po skończonej pracy, pływając w basenie, nawet jeśli mówiliśmy o sprawach urzędowych, ton rozmowy nie miał charakteru służbowego. Chyba tak być powinno. Trzeba umieć odróżnić stosunki służbowe od rodzinnych. Gdy coś nie było załatwione po jego myśli, ojciec mnie łajał. Miałem wtedy ochotę powiedzieć mu — „Jestem przecież twoim synem, dla czego mnie tak bezzwzględnie?”. Czasem było mi naprawdę bardzo ciężko.

Elliot: — Obowiązki prezydenta ograniczają na pewno w jakiś sposób stosunki rodzinne, ale ojciec czynił wszystko aby kontakt z rodziną był jak najściślejszy.

Franklin: — Pisyaliśmy do Ojca raz na tydzień. Odpowiadał nam zawsze odręcznie listem. Matka pisała częściej — była „sekretarzem” rodziny.

Anna: — Moje dzieci przepadały za dziadkiem. Właściwie to on wolał bawić się z wnukami niż z nami.

Elliot: — Brał udział w różnych naszych grach i zabawach, ale najbardziej lubił pływać w basenie, który znajdował się w Białym Domu. Pływanie to był najlepszy jego odpoczynek.

Kiedy byliśmy wszyscy razem rozmowa toczyła się często wokół spraw aktualnych, nie omijaliśmy też i problemów politycznych — a najmłodszy, jak to zwykle, wygłaszał poglądy nierzadko bardzo buntowniczo i śmiało. Nie wiem czy ojciec brał je na serio, ale zawsze lubił słuchać.

John: — Liczni goście jacy nas odwiedzali mocno się nie raz taką rozmową gorszyli — szczególnie Harold Ickes — uważał za wielce niewłaściwe to, że uczyniliśmy ojca jak ma rządzić. Tak przynajmniej określał nasze postępowanie Ickes.

Anna i Elliot wspominają spotkanie Roosevelta z Winstonem Churchill. Łączyła ich prawdziwa przyjaźń — mówi Elliot — Churchill lubił przesiadywać do późna w nocy, natomiast ojciec nie lubił tego i narzekał. Mówił, że musi wczesnie rano wstawać do pracy i dziwić się bardzo, że Churchill tak zarywa noc, a mimo to wstaje równie wesoło. Zaprzyjaźnili się bardzo, chociaż przed 1941 r. nie znali się osobiście. W rozmowach lubili obaj wspominać dawne dzieje.

John: — Ludzie uważali, że ojciec kieruje się tylko własnym zdaniem, w rzeczywistości decyzje jego były wynikiem długich narad z współpracownikami. Zdąrzało się jednak, że niezależnie od opinii doradców wybierał własne zdanie.

James wspomina o wizycie Roosevelta w Urugwaju. — Kiedy przybył prezydent Urugwaju był ogromnie zdenerwowany. Poinformowano nas, że trzy miesiące temu, podczas podobnej uroczystości, dokonano nieudanego zamachu. Ojciec spytał, czy nie można zorganizować odpowiedniej ochrony. Prezydent powiedział, że będzie nam towarzyszyć policja zmotoryzowana i tajna. Jedyny niezabezpieczony punkt znajdował się na wprost prezydenta Urugwaju. Wówczas ojciec zaproponował: „niech Pan każe adiutantowi usiąść przed sobą, a obok siadnie mój syn Jimi. W razie ataku będzie on dobrą tarczą”. Myślałem, że żartuje, ale on mówił serio. Wierzę, że tym razem nie czulem się pewnie.

Elliot: — Jakże często ojciec skarżył się, że otacza go zbyt wielu tajnych agentów. Kiedy stykał się z ludźmi, chciał być blisko nich, mówić z nimi po prostu i szczerze.

John: — Ojciec bardzo lubił prowadzić swego Forda. „Gulbil” wtedy po drodze agentów, którym w dużym i ciężkim Cadillacu trudno było poruszać się po wiejskich szlakach, jakie pokonywał z łatwością lekki Ford prezydenta.

John to jedyny syn Roosevelta, który dotychczas jeszcze przebywał w Hyde Parku. — Zawsze jest mi blisko to miejsce. Tutaj wzrastaliśmy, tutaj bawiliśmy się z psami i końmi. Tu graliśmy w tenisa. To był nasz dom.

— Chociaż był surowym ojcem, utrzymanie rygoru w rodzinie powierzał kobietom matce i babce — mówi Anna.

John: — Matka wyprawiła nas do szkoły, pilnowała nauki, organizowała wakacje. Potem przybyły jej nowe obowiązki. Kiedy ojciec zaangażował się w życie polityczne był już sparaliżowany. Wtedy moja matka zastępowała mu nogi, oczy, uszy. Zbierała dla niego potrzebne informacje. To co dostrzegła matka stanowiło dla ojca wielką wartość.

Synowie Roosevelta byli podporą ojca, mocnym ramieniem, na którym opierał swoje kaleństwo.

LIST z powiatu

MOJ DROGI! Skończył się okres wyborczy. Kosztował nas on sporo nerwowego wysiłku. Na okres maja musieliśmy zapomnieć o tzw. życiu osobistym, rodzinnym, o różnych brydżach i spotkaniach; nasze żony najczęściej spędzały samotnie wieczory przy telewizorach. Mówiąc „my”, mam na myśli zarówno i siebie (kandydowałem do Powiatowej Rady Narodowej) jak i te całą „uruchomioną” częścią działaczy partyjnych, społecznych i gospodarczych. Kosztowało więc nas to kupę roboty, ale myślę, że oprócz ulgi odczuwamy teraz także i duże zadowolenie — wysiłek ten nie poszedł na marne.

O wyborach szeroko pisała nasza prasa. Te garść uwag traktuję więc na zasadzie odprysków od tej wielkiej kampanii i patrz na nie przez odpowiedni pryzmat. Zastanawia mnie w tym miejscu jedna sprawa, na którą chciałbym zwrócić Twoją uwagę. W czasie tej mobilizacji wciągnęliśmy do roboty ogromny zastęp ludzi, przemieszciliśmy pojęcia, kto jest, a kto nie w tzw. aktywie. Myślę, że trzeba teraz bardzo uważać, aby ci nowi ludzie, którzy włączyli się w krwio-

obiegi partyjno-rządowej roboty, nie zagubili się na co dzień; należy im pomóc, otoczyć ich opieką, abyśmy mieli z nich rasowych działaczy. Ta, jednym słowem, wysoka fala zaangażowania społecznego nie może opaść. Inaczej nie rozliczymy się przed naszymi wyborcami w pełni z tysięcy słusznych i realnych postulatów.

Tu jeden wtręt: na naszej powiatowej konferencji partyjnej zdarzył się pewien zgrzyt, który ja osobiście potraktowałem jako obronny, zdrowy odruch jednego z działaczy wiejskich. (Zwróć uwagę, że tylko jednego).

Otóż ten towarzysz rzekł się publicznie swojej kandydatury do PRN. Powiedział krótko, że ma już tyle obowiązków i chce się z nich przyzwolnić rozliczyć, a nie brać ich tyle, żeby się pod ich ciężarem załamać. Towarzysze z prezydium jak i moi sąsiedzi na sali byli tym trochę zaskoczeni. Ale tę konsternację szybko zażegnał obsługujący konferencję członek egzekutywy KW.

Tak, w tym jednym wypadku nie trafiliśmy. Ktoś z komisji podsuwał kandydaturę owego towarzysza, nie zadał sobie trudu, aby się nad nią głębiej zastanowić. Wiemy jak to jest: towarzysz Iks jest wypróbowany, da radę, więc obdarzyć go jeszcze jedną funkcją; też się z niej na pewno dobrze wywiąże.

Konkludując, myślę, że generalnie nie popełniliśmy takiego błędu. Tylko nie wolno nam przegapić tego, o czym wspominałem na początku listu.

TWOJ JEŻ.

Franklin: — Musieliśmy trzymać sztywno ramie, na którym ojciec opierał się całym ciężarem swego ciała. W drugiej ręce miał laskę. Trzymał się prosto. Naprawdę, to mało kto wiedział jak bardzo bezwładne były jego nogi. On sam nie przywiązywał do tego zbytniej uwagi. Wchodził i wychodził z pociągów, sanchochod, siadając i podciągając rękami nogi.

Anna: — W 1924 r. będąc już sparaliżowany wygłosił przemówienie stojąc parę godzin na trybunie. Był to wysiłek straszliwy.

Franklin: — Jeździł konno, żeglował. Chociaż jego nogi były bezzilne, ręce i barki miały moc olbrzymią. Jack Dempsey powiedział kiedyś, że gdyby miał siłę prezydenta nikt by go nie znokautował.

Anna: — Wiele osób jest zdania, że gdyby nie kaleństwo, ojciec nie byłby tak wielkim filantropem. Ja w to nie wierzę. Ojciec przejawiał zawsze duże zainteresowanie sprawami szarego człowieka. Jestem pewna, że choroba wpłynęła tylko na pogłębienie jego filozofii.

Elliot: — Pasmami lubił czytać. Polykał wprost książki. Przeczytał 300—400 stron jakiejś książki potrafił po upływie paru miesięcy powtórzyć z niej całe ustępy.

John: — Lubiał bardzo swój zbiór znaczków pocztowych, które podniecały jego zainteresowania geograficzne, mimo że był historykiem.

Elliot: — Wiem jak bardzo pragnął być pisarzem. Zamierzał opracować historię rozwoju marynarki USA. Marzył o podróży — chciał być dla całego świata „ambasadorem dobrej woli”.

Franklin: — Ostatni raz widziałem ojca w czasie świąt Bożego Narodzenia w 1943 r. Był zdrow, wyglądał dobrze.

Anna: — Mówiono mi — „musisz sobie zdawać sprawę, że z jego zdrowiem jest coraz gorzej”. Trudno mi było pogodzić się z tym. Staraliśmy się w miarę możliwości pomagać mu. Oto dlaczego pojechałam z nim do Jalty.

James: — Byłem zaniepokojony, kiedy po zakończeniu pewnej uroczystości państwowej podawałem mu plaster. Wydał mi się jakiś mniejszy i słabszy. Wróciwszy do Białego Domu oświadczył mi, że czuje się źle. Lekarz, któremu przekazałem swoje obawy nie był zaskoczony: „Zrobisz dobrze, jeśli zostaniesz z ojcem. To ostatnie jego dni” — oświadczył.

Franklin: — Ostatni list ojca doszedł mnie po jego śmierci. Określ, którym dowodziłem zatopił właśnie nieprzyjacielską łódź podwodną w okolicy Filipin. Napisałem wtedy do ojca, a była to rocznica jego urodzin — 30 stycznia 1945 r. „mój torpedowiec składa Ci podarek urodzinowy, jakiego dotąd żaden prezydent nie otrzymał od swego syna”. W liście do mnie, dowódcy, oficerów i marynarzy okrętu „Ulvert H. Moor” ojciec gratulował zwycięstwa. Był to jego ostatni list.

Oprac. M. TYMOWSKA

gratis, bo tu marża na alkohol 100 proc. Inspektorzy obliczyli, że w jednej restauracji kelner „może” zarobić skromnie 100 zł dziennie przy jednym stoliku, a takich stolików ma w swoim rewirze osiem. Zamienia się też dodatki do potraw (droższe na tańsze), nie podaje kompotów, zmniejsza porcje dań droższych, że wspomniemy już dziś historyczną aferę z pieczarkami w jednym z łódzkich, i to reprezentacyjnych lokali. W „Eldorado” sprzedawano wódkę zwykłą za wyborową, w „Magnolii” stworzono fikcyjny raport kuchenny na kilka tysięcy zł, aby ukryć większe niedobory, w „Simie” wydawano zbyt drogie karty wstępu w godzinach tzw. działalności rozrywkowej...

dlu artykułami spożywczymi, owocami i warzywami, mięsem i rybami.

Wśród obecnej kadry inspektorskiej tylko 12 pracuje od początku istnienia łódzkiego oddziału PIH. Ale to i tak duży odsetek, znacznie większa tu bowiem stabilizacja personelu niż np. w łódzkim handlu, gdzie, jak wiadomo, co trzeci rok wymienia się całą kilkunastotysięczną armią pracowników, bo taka tu jeszcze płynność kadr.

Wiele kontrolerzy muszą mieć bardzo dobrą opinię, po to, aby wśród kontrolowanych mieć... opinię złą. Jest dobry dla PIH, będzie szczerzy i uczciwy w ściganiu mniejszych i większych kantów za ladą i pod ladą, w kuchni i w kelnerskim rewirze, będzie zły dla wszystkich potencjalnych oszustów.

Inspektorów jest tylko 50, a tych, których oni kontrolują jest w Łodzi kilkanaście tysięcy, praca inspektorów jest więc trudna, uciążliwa i niejednokrotnie niewdzięczna. Zaczyna się ona rano o 3 rano, a kończy, jak trzeba, i o 2 w nocy. A ponadto nie każdy może być inspektorem. Wymagana jest nieskazitelna opinia (nawet służbowe uchybienie dyskwalifikują człowieka starającego się o pracę w PIH), kwalifikacje, staż pracy w handlu czy gastronomii, albo technikum gastronomiczne albo wydział ekonomiczny Uniwersytetu. Inspektorem może zostać również absolwent szkoły rolniczej, bo PIH to także kontrola han-

Z doświadczeń 50 śmiałych wynika wiele ciekawych wniosków. Tak np. jakość potraw jest wyższa w lokalach kategorii I i „S”, ale uczciwość w stosunku do gościa wyższa jest w kategorii II i III. No bo w kategorii „S” i I większe są rachunki, większe obroty więc i polusa dla niejednego właściciela. W zbadanych 6 zakładach podległych LZG (na 37 istniejących) w I kwartale br. na 83 potrawy, które PIH wzięła pod lupę, ocenę dobrą i bardzo dobrą otrzymało 60 potraw, a złą i tylko dostateczną 23 potrawy.

A inny wniosek: omijaj czytelniku restauracji!

racje dworcowe — oczywiście dopóki w wyniku kontroli PIH nie nastąpi tam „ku chenny przelom” — na 43 zbadane dania aż 26 otrzymało „dobre” i „dostateczne”. A oto pewna obserwacja na temat skuteczności tzw. kontroli wewnętrznej w zakładach gastronomicznych w Łodzi: jest ona bardziej liberalna i tolerancyjna, niż kontrola z zewnątrz. W książkach kontroli jakości potraw, które ma prowadzić każdy kierownik zakładu gastronomicznego, przez cały rok ubiegły i I kwartał tego roku nie stwierdzono żadnego wpisu.

Wróćmy jeszcze do naszej codziennej pół czarnej. Najgorsza jest w restauracjach. Na 13 prób pobranych w I kwartale br. oceny „bardzo dobra” i „dobra” nie otrzymała ani jedna kawa, za to „zła” i „dostateczna” aż 9. A przecież w opinii gościa restauracyjnego kawa w knajpie to żaden interes dla tych pracowników którzy goną za lewym zarobkiem. Interesy robi się tu na eksportowej zamienianej na „strzałki licier”, bo gość w pewnym stanie nie poczuje różnicy (opowiadano mi nawet o takim kelnerze, który gościa nad ranem poił zamiast wódką już tylko zwykłą wodą przynieszoną w butelkach monopolowych), na pieczarkach i na... detach dopisywanych do rachunków. Jeśli więc kawa w restauracji to żaden interes, dlaczego jest taka zła?

Wracając do „dat”: pewien inspektor udał Anglika, operującego tylko bardzo łamaną polszczyzną, żeby na własnej skórze odczuć skutki kelnerskiej nieuczciwości. Ani się obejrzał, jak do rachunku dopisał mu 200 zł. I to w eleganckim lokalu.

Takich itp. faktów w protokołach PIH znajdziecie dziesiątki i setki. Uodwadniają one, że nieuczciwość święci triumfy wszędzie w „żywieniu zbiorowym”, że złodziej i oszuści nie wybierają kategorii lokalu. Ale te triumfy są krótkie. Raz po raz afera wybucha a jej bohaterowie wchodzą na sądowe wokandy, wypadając jednocześnie z rejestru uczciwych pracowników z kartotek MHW.

Bo bitwę o jakość potraw, walkę z kantami w barach i restauracjach inspektorzy łódzcy powoli wygrywają. Gorzej jest z jakością kawy. To źródło nielegalnych zarobków bije nadal. A kawy w Polsce pijemy przecież i tak bardzo mało w porównaniu z innymi krajami, pijemy jej bardzo mało, co nie przeszkadza, że w tym, co zamawiamy w kawiarniach i restauracjach zamiast „Sentos” znajdujemy wodę. Tylko w I kwartale br. z ustawy antyspekulacyjnej z 1957 roku przewidującej karę do 5 lat więzienia wpłynęło do łódzkich sądów aż siedem spraw. Właśnie za oszustwa na pół czarnej.

Zyczymy więc 50 śmiałym z PIH i w tej dziedzinie rychłych sukcesów. Warto też na codzienny użytek zapamiętać: w dużej czarnej ma być 12 gram surowca.



1905 rok — kozackie patrole na ulicach. Fot. Archiwum.

EDWARD SZUSTER

Rzecz dzieje się w pierwszych dniach czerwca 1905 roku w Łodzi. Bohater widowiska — żołnierz — stracił w zamieszkach ulicznych swój ekwipunek i usiłuje go odnaleźć i odzyskać. Wśród mieszkańców robotniczej dzielnicy udało mu się napotkać ludzi, którzy życzliwie odnoszą się do jego starań.

(Sien w kamieniczce czynszowej. Przed drzwiami do mieszkania zatrzymuje się Dziewczyna prowadząca Żołnierza).

DZIEWCZYNA: — To tu. Trafisz z powrotem do Ogrodnika?

ŻOŁNIERZ: — Koniecznie.

DZIEWCZYNA: — Będę tam. A teraz idź. Musisz o swojej sprawie pomówić z gospodynią.

ŻOŁNIERZ: — Musiałem ci powiedzieć nieprawdę. Gdybyś wiedziała, że ja nie deserter, nie prowadziłabym mnie do tych ludzi w fabryce.

DZIEWCZYNA: — Chyba nie. No, idź!

ŻOŁNIERZ: — Wrócę niedługo.

DZIEWCZYNA: — Z karabinem?

ŻOŁNIERZ: — Koniecznie.

(Dziewczyna odchodzi. Żołnierz przez chwilę ogląda drzwi, które ma przekroczyć, wreszcie decyduje się i naciska klamkę. Drzwi otwierają się do ubojego izby, zastawiając jej lewą część. Po prawej, przy kuchni, stoi pochylona Kobieta i poprawia fajerkę).

KOBIETA: (nie podnosząc głowy) — Wejście. Nie ma już nikogo. Poszli na wieś do fabryki.

ŻOŁNIERZ: — Wy gospodyni?

KOBIETA: (teraz dopiero zorientowała się, że to nie sąsiad ją odwiedza) — Czego chcecie?

ŻOŁNIERZ: — Wy gospodyni?

KOBIETA: — Przysłuchajcie po mnie?

„DRAGON”

widowisko
telewizyjne*)

(FRAGMENT)

ŻOŁNIERZ: — Do was.

KOBIETA: — Po co?

ŻOŁNIERZ: — Ludzie mi powiedzieli, że u was mój karabin.

KOBIETA: — Jacy ludzie?

ŻOŁNIERZ: — Katorżnik, jedna dziewczyna...

KOBIETA: — Katorżnik?

ŻOŁNIERZ: — Przyjdź mnie tu kazać.

KOBIETA: — Po co?

ŻOŁNIERZ: — No, po karabin. U was jest?

KOBIETA: — Nie mamy o czym mówić. (odwraca się do kuchni).

ŻOŁNIERZ: — Zrozumie cioteczko — położenie moje jest takie — ten karabin muszę mieć. Mnie bez karabina w kazarni

się nie pokazywać. Pod sąd pójdę. Wam z tego nic nie przyjdzie. Pomóżcie ciociu.

KOBIETA: — Dlaczego miałabym ci pomagać?

ŻOŁNIERZ: — Bo życie takie i ono jest, że człowiekowi pomagać należy.

KOBIETA: — A ty chcesz mi pomóc?

ŻOŁNIERZ: — Jak trzeba to i pomogę.

KOBIETA: — Spróbuj. Spójrz tam (ruchem ręki pokazuje Żołnierzowi to, co jest poza jego plecami).

(Żołnierz odwraca się i widzi przed sobą łóżko pokryte kapą pod którą spoczywa czyjaś ciało).

KOBIETA: — Spróbuj wskrzesić mojego męża. Zabili go dziś. Dziś go zabili twoi koledzy! Pomóż mi, wskrzesz go, to i ja tobie pomogę. Ale jak tego nie zrobisz, to nie czekaj ode mnie niczego. Nawet palcem nie kiwnę. Co mnie obchodzi, że ciebie skazają. Co mnie obchodzi czyjeś nieszczęście. Ja mam swoje nieszczęście i swoje rachunki. (Żołnierz zdjął czapkę, przebiegł się. Stoi w milczeniu). — Ulica szedi, nieborak, wodę niósł do domu, i zabili go. Co on wam zawinił? Spokojny był człowiek, zarobku nie przepijał, nikomu nie zawadzał. Co on wam zawinił, ludzie? Serca nie macie!

ŻOŁNIERZ: (przebiegł się raz jeszcze; włożył czapkę i odwrócił się do Kobiety): — Ja tej śmierci nie winię.

KOBIETA: — Nosisz taki sam mundur, jak ci, co go zabili.

ŻOŁNIERZ: — Zdjąć można mundur, można włożyć. Jewo imperatorskie wielceństwo car odczuł mnie ubrał, to noszę. Syna macie?

KOBIETA: — Mam.

ŻOŁNIERZ: — I jego w mundur ubiorą.

KOBIETA: — Niedoczekanie.

ŻOŁNIERZ: — Dożyjemy, zobaczymy.

KOBIETA: — A karabinu ci nie dam. Możesz mnie zaszpiclować, a nie oddam.

ŻOŁNIERZ: — Nie to nie. A szpiclowaniem my się nie trudzimy. (Na piecu zasyp-

czają. Kobieta podbiega do kuchni i wyjmując garnek z fajerką).

KOBIETA: — Nie wie już człowiek za co się wziął.

ŻOŁNIERZ: — Pomogę wam.

KOBIETA: — Nie tu już nie ma do roboty.

ŻOŁNIERZ: (pociąga nosem) — Zapach taki...

KOBIETA: (patrzy na żołnierza uważnie) — Kapuśniak. A ty co?

ŻOŁNIERZ: (przechyła machinalnie). — Ni czągo. Ja nie głodny.

KOBIETA: — Myślisz może, żeś przyszedł na stypę, no to i poczęstunek ci się należy. ŻOŁNIERZ: — Poczęstunku nie odmówię.

(Kobieta po chwili namysłu; nalewa zupy do miski i stawia ją na stole).

KOBIETA: — Jedź!

(Żołnierz zabiera się do jedzenia powściągliwie, ale wkrótce traci panowanie i zamienia łapczywie).

— Zgłodniałeś?

ŻOŁNIERZ: — Wybaccie cioteczko. Od rana chodzę za swoim oporządzeniem to i zgłodniał.

KOBIETA: — A wszystko jedno karabinu ci nie dam.

ŻOŁNIERZ: — Znaczą się, wam potrzebny?

KOBIETA: — Jak byś wiedział, że potrzebny?

ŻOŁNIERZ: — A z karabinem obejść się umiecie?

KOBIETA: — Ja nie, ale mój syn potrafi. Tylko patrzeć, a będzie mu potrzebny.

ŻOŁNIERZ: — Do czego?

KOBIETA: — A do czego może być potrzebny karabin? Mówią ludzie, że jutro wojsko będzie robotników z fabryk wyganiać.

ŻOŁNIERZ: — Nie dacie rady.

KOBIETA: — To nie damy. Ale przynajmniej, któryś z naszych za mojego zapłaci.

ŻOŁNIERZ: (skończył jeść i odsuwa od siebie miskę). — Za poczęstunek z serca, duszy dziękuję. Kiedy pogrzeb?

KOBIETA: — A co ci do tego?

ŻOŁNIERZ: — Poszedłby ja uczciwego człowieka na wieczny odpoczynek odprowadzić.

KOBIETA: — Naprawdę?

ŻOŁNIERZ: — Poszedłby, słowo uczciwości. No, nie przyjdę, bo lejtnant mnie do turmy wsadzi.

KOBIETA: — Turmy też dla ludzi. Naszych niemało w turmach siedzi.

ŻOŁNIERZ: — Prawda. (wstaje, podchodzi do pieca, bierze do ręki palkę do kartofli).

KOBIETA: — Na co ci to?

ŻOŁNIERZ: — Tak myślę. (wazy w dłoni palke) — Gospodyni?

KOBIETA: (wstaje) — Co?

ŻOŁNIERZ: — Biercie tę palkę i mnie w łeb stuknijcie, a zdrowo. No tak, cioteczko, żeby oczka nie wypłynęły.

KOBIETA: — Zgłupiałeś!

ŻOŁNIERZ: — Wychodzi na to, że nie. Uczciwie mówię.

KOBIETA: — A po co to?

ŻOŁNIERZ: — Jak lejtnant pobitego zobaczy, to on — swolocz — uśmiechnie się i może pod sąd nie da. Błicie cioteczko! (wraca do stołu z palką w ręku i podaje ją Kobięcie).

KOBIETA: (zachłepa się) — Idźże — ty. Niedoczekanie żebym ja miała palkę od kartofli człowieka po głowie tuc.

ŻOŁNIERZ: — Głupstwo cioteczko. Tak, trochę krwi — mała nieprzyjemność, a pożytek duży. Tylko na, oczy uważajcie.

KOBIETA: — Nie.

ŻOŁNIERZ: — Nie?

KOBIETA: — Nie. Jakby to wyglądało. Nieboszyk tu leży, a ja człowieka palak...

ŻOŁNIERZ: — Wasza prawda. Do sieni pójdziemy.

KOBIETA: — Przestań! Mało ja mam zgryzot? Tego mi jeszcze potrzeba? (Żołnierz siada przy stole i w strapieniu kładzie głowę).

ŻOŁNIERZ: — Och! Baba wy baba! Do Ogrodnika pójdę należy. Dobry to człowiek. Może on mi dogodzi.

*) Widowisko „Dragon” zostanie zrealizowane przez Łódzki Ogródek Telewizyjny w programie ogólnopolskim w dniu 18 czerwca br., w reżyserii Tadeusza Minca.

Nad czym pracują pisarze?

JANUSZ
SKOSZKIEWICZ



Nad czym pracuję? Przede wszystkim nad opowiadaniem. Kilka z nich nadesłała Rozgłosnia Łódzka, kilka drukowały „Odgłosy”. Jedno było w „Osnowie”. Powoli zbiera się z tego cały tom, na który mam umowę z Wydawnictwem Łódzkim. Tematyka różna, tak jak życie stwarza różne konflikty i sytuacje czasem o wręcz nieoczekiwanych rozkładach. Staram się, żeby te opowiadania były możliwie zwarte w środkach wyrazu, z zaskakującą pointą. Pracuję równocześnie nad słuchowiskami radiowymi. W ostatnich miesiącach Rozgłosnia Łódzka nadesłała dwa moje krótkie słuchowiska. Jedno, piętnastominutowe pt. „Brzost” i drugie dłuższe pt. „Łódźka przeżożnika”. Takie krótkie słuchowiska z minimalną obsadą aktorską (2, 3 najwyżej 4 osoby) to dla mnie niezwykle frapująca forma literackiej wypowiedzi. Toteż wdzięczny jestem Redakcji Literackiej Rozgłosni za możliwość współpracy w tej dziedzinie. W tej chwili składuję następne słuchowisko. Projektowany tytuł „Hotel Współistnienie”. Nie wiem jeszcze jak to mi się uda. No, i oczywiście tytuł może ulec zmianie.

Mniej ostatnio cieszę się względami muzy Euterpe. Po dwu lirycznych zbiorach „Na krawędzi czasu” (Wydawnictwo Łódzkie, 1957) i „Ogrodach” (Wydawnictwo Łódzkie, 1963) piszę wiersze raczej rzadko. Również chyba na jakiś dłuższy czas nie napiszę niczego w stylu mojej powieści pt. „Kolorowe miasteczko” (Czytelnik, 1961). Ten styl groteski, nierzad zabawy dla samej zabawy, mówienia o sprawach poważnych z przyzwyczajeniem oka, kuszą mnie i teraz czasem, ale czy ja wiem, może moja wina, a może wina jakiejś ogólnej aury literackiej, że odszedłem od tego rodzaju formy. Wiele głównie opowiadań. Jeśli nie smutne, a w zasadzie nie lubię smutnych opowiadań, to w każdym razie poważne, z nutką refleksji, może czasem zadumy, czasem zaś ironii. To chyba wszystko na najbliższe miesiące.

KAZIMIERZ ŚWIEGOCKI

PIEŚŃ I

Kto mnie wołał tej nocy Kto płakał
Wilk to był? Czy wspomnienie jego pieśni
potarło mnie aż do iskier?

Powietrze zimne otwierało skrzela
i szła z nich pieśń nie ludzka
lecz może wyszumiała z mechu, lubinu
z nieodczytanego zapatrzenia płazów

Tę pieśń znał pierwszy pies
pierwszy koń ją śpiewał nad stępami

Która sama swoim wypełnieniem jest
i nazwaniem i tym wszystkim co o niej milczy

Lecz kto mnie tu wzywał
wilk czy oszalały od nadziew człowieka?

Tu na tym polu gdzie kobiety co rano
plonące włosy w piach zagrzebują
a potem mkną i giną gdzieś po jarach
nigdy nie wiadomo czego chcą ptaki
i czy świergot jest głosem ich prawdy
czy złośliwym podszeptem jakichś bogów
Czy ziemia śni się zmarłym
czy to wiatr kołysze próżnię po nich

Tu na tym polu dzikim od jałowców
zawsze coś woła jakby zmarli mówili
imionami chwastów albo czytali
Pieśń nad pieśniami Wołając:
„O ty, która mieszkasz w ogrodach!
przyjaciele słuchają głosu twego:
ozwijże mi się!”

PIEŚŃ II

Tu, na tym polu nikogo nie spotkam
może tylko swą ręką oddaloną ode mnie
o myśl którą ja we mnie zrodziła
W dolinach dopalają się lilie
Moją głowę podpięta próżnia
i rzeczy nieprawdziwe, lecz że nazwane
istniejące

Tyle bytów ileś wymówił nie ma
Ucz się rozumieć nie tylko mowę kwiatów
ale własną mowę. A to niełatwe
jak niełatwo jest przeczuć koniec linii krzywej
która, idąc a nawet stojąc, przedłużasz
aż wreszcie ujrzyś znów jej początek
lecz to już będzie koniec.



Romuald Płonka. Kwiaty — linoryt.



Spotkanie z HANSEM ZBINDENEM

Dla wielu ludzi Szwajcaria znana była do niedawna jedynie ze wspaniałych serów szwajcarskich i nie mniej znakomych zegarków. Gdy w 1753 roku François Voltaire przybył do Ferney (w pobliżu Genewy) i miał spotkanie się tam z grupą bogatych mieszczan, długo zastanawiał się nad tym, jak do nich przemówić. Wreszcie zdecydował: „Szaniowni panowie zegarmistrzowie!”

O kulturze i literaturze tego kraju wiedzieliśmy mało, albo nie zgola. Ale oto po ostatniej wojnie rozstawił imię swej ojczyzny dwaj znakomici pisarze szwajcarscy: Fryderyk Dürrenmatt i Max Frisch, których utwory dramatyczne grano (i gra się ciągle) na wielu scenach świata i których powieści przełożono na wiele obcych języków. Mimo to wciąż jeszcze o Szwajcarii krąży sporo obiegowych opinii i to zarówno mówionych jak i pisanych. Roda-Roda jest, na przykład, autorem bardzo błyskotliwego powiedzonka: „Pięknie urodzić się Szwajcarem, zaszczytnie jako Szwajcar umrzeć, ale co robić w międzyczasie?” Ze niby życie w tej Szwajcarii zasobne, lecz nudne nie do wytrzymania. A przypominać sobie państwo, co w „Laźni” Małakowskiego mówi Iwanowicz? Mówi on: „Byliście kiedy w Szwajcarii? A ja byłem w Szwajcarii. Wszędzie sami Szwajcarzy. Niezwykle interesujące”.

Ala porzućmy żarty. Chęć napisania o Szwajcarii zro-

dziła się z bardzo konkretnego powodu.

Przed paroma tygodniami przebywał w Łodzi Hans Zbinden, profesor uniwersytetu berneńskiego i zarazem przewodniczący związku pisarzy szwajcarskich. Wygłosił on dwa odczyty dla pracowników naukowych: o literaturze szwajcarskiej, widzianej w perspektywie europejskiej i o problemach kultury w stehnicyzowanym świecie zachodnim.

Hans Zbinden, dziś już po siedemdziesiątce (ur. 26 sierpnia 1893), jest człowiekiem wszechstronnie wykształconym, studiował w Bernie i Zurychu prawo, ekonomię, historię, literaturę i religioznawstwo. Wiele podróżował po Europie i Stanach Zjednoczonych. Był również w Polsce, o czym nieco dalej. Na uniwersytecie berneńskim wykłada socjologię kultury, a od r. 1953 pełni obowiązki przewodniczącego związku pisarzy szwajcarskich. Jest członkiem wielu towarzystw kulturalnych i naukowych w kraju i za granicą, m. in. bierze udział w pracach komisji UNESCO jako kierownik sekcji socjologicznej. Napisał i wydał mnóstwo książek, a także przekładał z francuskiego i angielskiego, którymi to językami włada świetnie, o czym mogliśmy się przekonać niedawno. Spośród ogromnej ilości jego własnych prac wymienimy kilka najbardziej charakterystycznych: „Technika i kultura” (1933), „Walka o zachowanie pokoju” (1934), „Kryzys moralny świata zachodniego” (1940), „Pisarz w naszej epoce” (1943), „Młodość i państwo” (1952), „Cienie i blaski starości” (1958), „Człowiek zagrożony” (1959). Ostatnio najpoważniejsze wydawnictwo szwajcarskie, Francke Verlag, przystąpiło do zbiorowego wydania jego dzieł, z których ukazały się dotychczas cztery tomy, zawierające studia, rozprawy i eseje. Hans Zbinden jest intelektualistą o żywej umysłowości, rozległych horyzontach i poczuciu humoru. Dwa odczyty, wygłoszone przez niego w Łodzi, (jeden po niemiecku, drugi — po francusku) dostarczyły słuchaczom wiele cennego materiału i podnięty do dyskusji i rozmyślań. Jeżeli chodzi o literaturę szwajcarską, jest on zdania, że znajduje się ona w szczęśliwej dla siebie fazie łączenia tego, co krajowe, własne z tym, co ogólne, uniwersalne. Dürrenmatt i Frisch zawdzięczają swoje sukcesy temu, że — zdaniem Hansa Zbindena — w swoich dziełach podejmują oni problemy naszej epoki, które są również problemami naszego kraju, problemy, od których nie można uciec i których nie można ominąć, i ujmują je z całą ostrością, oryginalnością i siłą, zdolną poruszyć umysły współczesnych czytelników.

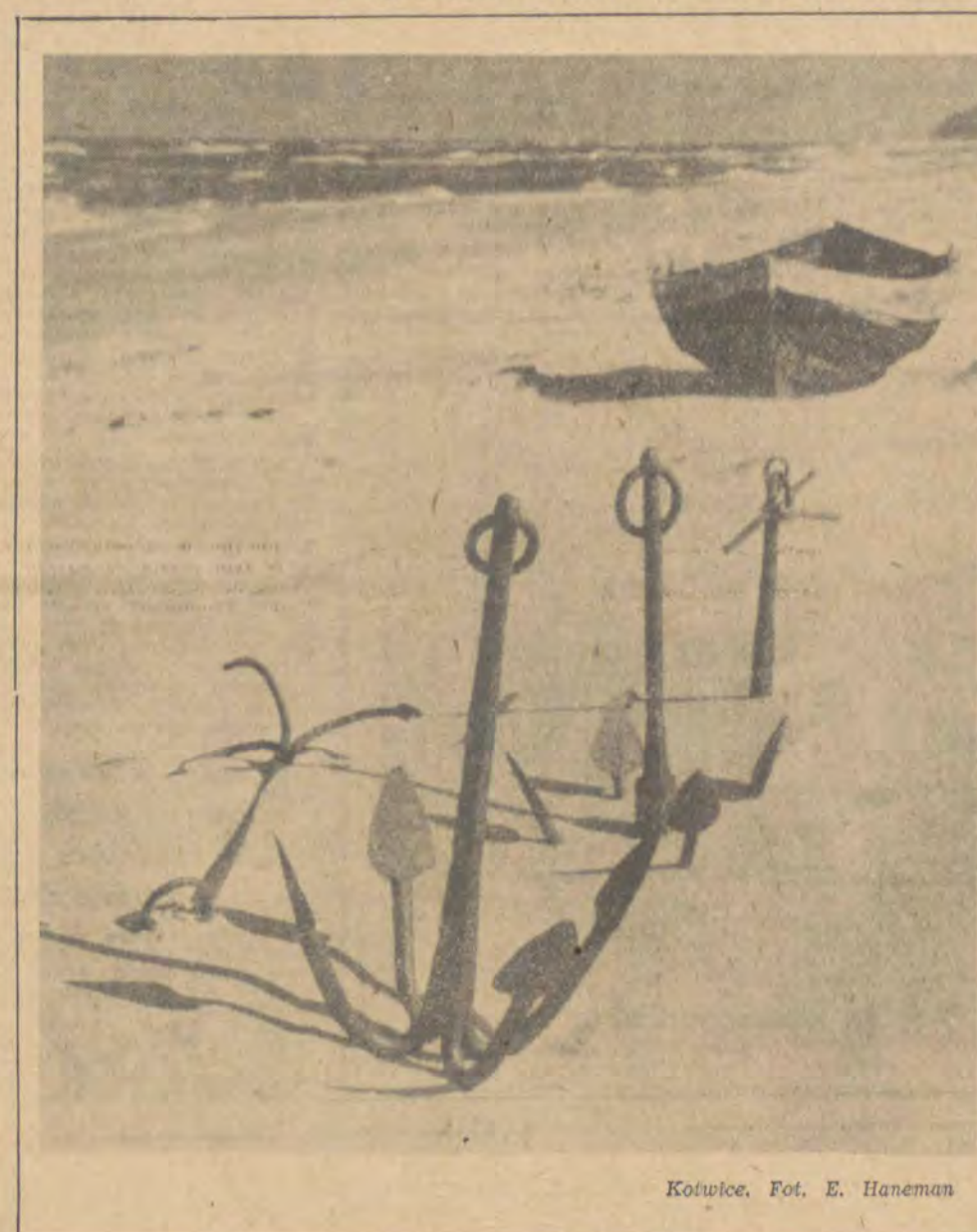
Jednocześnie Hans Zbinden nie ukrywa faktu, że społeczeństwo szwajcarskie nie interesuje się za dużo swoimi pisarzami i powiedział: „Dopiero gdy zagranica uzna dzieło szwajcarskiego autora, dostąpi on uznania i zaszczytu we własnym kraju. Podobnie dzieje się na naszych uniwersytetach: na młodych wybitnych badaczy i naukowców zwraca się uwagę dopiero wtedy, gdy imię ich stanie się głośnie za granicą”.

Przez wiele lat mówiło się w ten sposób i o naszych polskich stosunkach. Jak widać, wszędzie istnieją te same problemy i kłopoty.

Hans Zbinden był obecnie w Polsce po raz trzeci. Po raz pierwszy przyjechał do naszego kraju w 1933 roku. Z upodobaniem odwiedzał Huculszczyznę, gdzie dobrze się czuł i gdzie nade wszystko zachwycił go ludzie. Zapamiętał wiele tamtejszych zwyczajów, opowieści i legend. O Huculach mówi, że są to „uczeni analfabeci” tzn. ludzie mądzy i głębocy, chociaż pozbawieni jakiegokolwiek wykształcenia.

Drugi raz przyjechał Hans Zbinden do Polski w 1939 roku. Tu, w naszym kraju, zastała go wojna. Powrót do Szwajcarii był bardzo dramatyczny. Przedostał się do Rumunii i stamtąd, drogą okrężną, do Berna, w którym mieszka do tej pory. O obu swych pobytach w Polsce pisał później w prasie szwajcarskiej. Zapytany, czy napisał również o tegorocznej wizycie w naszym kraju, odpowiedział: „Jak najbardziej. Jestem pisarzem i mam naturalną skłonność do utrwalania w słowach tego, co przeżywam, widzę i doświadczam”.

Jan Kłopotowski



Kotwice. Fot. E. Haneman

JERZY TYNECKI

„TORT URODZINOWY”

Ze „Tort urodzinowy” jest debiutem książkowym — to tylko formalność. Opowiadania zebrane w tym tomie świadczą o takiej poradności we władaniu piórem, iż „debiut” oznacza w tym wypadku, iż autorka nagradzanych już uprzednio reportaży po prostu wydała swoją pierwszą książkę. Dlatego do tej recenzji nie z nieszczerej łaskawości, okazywanej zwykle autorom początkującym — nie przeniknę.

Utwory zebrane w „Tort urodzinowy” najlepiej nazywać nie nowelami ani opowiadaniem, lecz „obrazkami”. Mają one pewien rys wspólny z obrazkami nowelistycznymi: pisarzy późnego pozytywizmu graniczącego w czasie z modernizmem. Podobnie jak tamte, obrazki Ewy Ostrowskiej wywodzą się z prasy tygodniowej i zastępują poniekąd reportaże i publicystykę razem wzięte. Odpowiednio do wymagań gatunku mają też one tezę społeczną. Owszem, to wszystko prowadzi na myśl prozatorską twórczość Konopnickiej.

Ala Ewa Ostrowska należy do współczesnej epoki. We współczesnej epoce ani modernizm, ani pozytywizm jeszcze nie przebrzmiały. Owszem, znajdują się one w symbolizmie, i dzięki niej trwają.

W obrebie określonego powyżej gatunku literackiego utwory Ewy Ostrowskiej zwracają na siebie uwagę, chętnie bym nawet powiedział: są dobre i zajmujące. Może tylko z techniki nowelistycznej należałoby przejąć nieco doświadczeń konstrukcyjnych. Przydałoby się wyraźniejsze rozplanowanie utworów, klarowniejszy podział na zawiązanie, kulminację i rozwinięcie narracji. Pomaga to uprościć styl, skrócić okresy, uniezależnić się od tzw. relata refero. W obecnej bowiem książce narracja jest prowadzona jakby ławą, wypowiedź jak gdyby chce oblać wszystko. Poszczególne obrazki przypominają się, w której autorka ciągnie temat na brzeg. Wprawdzie zawsze widzimy sukces, lecz niepotrzebnie obserwujemy wysiłek. Zdradza go uporeczywe i niemal manieryczne stawianie orzeczenia na końcu okresu: „po dziesięciu latach... wreszcie nadzieję zyskał”, „za pokutę od Pana Boga spuszczoną przysłał” itd. Polska proza wyzwoliła się już od łacińskiego szyku zdań. Ostrowska posługuje się nim jako manieryzmem, dla zaznaczenia, że relacja pochodzi od osoby postronnej. Jednak-



że relacja ta dotyczy wsi, nabiera nieznaczącego charakteru baśniowego i w sumie wywołuje wrażenie przykrego stawiania się autorki ponad opisywanymi wypadkami. Zapomina się o tym dopiero w dramatycznych momentach akcji.

To, że autorka motyw obojętności ludzkiej potrafiła w prawie każdym utworze przeprowadzić w sposób wysoce dramatyczny, jest jej sukcesem. Obojętność ta dotyczy ludzi często bezradnych, lecz zawsze spragnionych czegoś lepszego: czy to w planie osobistym, czy społecznym. Przedstawia więc autorka tragedie i dramaty dzieci, których psychiczne potrzeby nie zostały zaspokojone, dramaty starców odepchniętych przez dzieci, które zdobyły awans społeczny, borykające się młodych dyplomantów — entuzjastów na prowincji, porażki nieporadnego społecznika młodzieży wiejskiej. Tłem tych dramatów i tragedii jest nasze miasto, miasteczka powiatowe województwa łódzkiego i najbardziej zacofane rejony regionu łódzkiego. Autorka ma dar ukazywania w tym tle zdarzeń i wypadków wstrząsających.

Czy jednak nie korzysta z tego daru zbyt często? Przechodzę do tezy społecznej jej obrazków. Z nią sprzeczałbym się zdecydowanie. Jestem przeciwny pochwalę nonkonformizm, który uprawia Ewa Ostrowska. Za dużo w nim moralnego oburzenia, za mało rozważ. Wykolejanie się dławczy z „Honorkatki” odbywa się nie bez pewnej roli psychopatycznej skazy w nich samych, a nie tylko dlatego, że ich rodzice są zapatrzeni w przeszłość. Może zrozumieć władzę gminną, która z cegły na Dom Kultury buduje remizę strażacką. Nie proponowałbym modelu grupmłodzieżowych, które z własnych składek budują kino stałe, jeśli może trafić tam kino objazdowe, nawet jeśli kierownik kina pobiera za to pensję. Powiem więcej: nie starałbym się wstrząsać czytelnikiem swoją wypowiedzią, bo my, czytelnicy, strasznie lubimy wstrząsać opowieści. Pozwalać nam one lepiej trawić, a przekonując, że my jesteśmy lepsi, pozwalają nam lepiej spać.

Takie jest niebezpieczeństwo pochwały nonkonformizmu, że czyni nas ona konformistami.

Ewa Ostrowska: Tort urodzinowy. Łódź 1965. Wydawnictwo Łódzkie; s. 157. Cena zł 10.—

Książki

nadesłane

Robert Musil — NIEPOKOJE WYCHOWANKA TORLESSA, WL, cena zł 20.—

Stanisław Ciesielczuk — POEZJE ZEBRANE, LSW, cena zł 26.—

Jan Kureczak — 7 ZIELONYCH ZESZYTÓW, WL, cena zł 12.—

ALBUM POEZJI MIŁOSNEJ, Iskry, cena zł 30.—



„WOJNA BANANOWA”

Debiutancka powieść zachodniemiejskiego pisarza ukazuje się u nas w przekładzie Marii Kłos-Gwizdańskiej w momencie, gdy świat zagrożony został przez dwie nowe interwencje amerykańskie w Wietnamie i Dominikanie. Akoja książki toczy się w r. 1954 w Gwatemali, gdzie amerykański koncern United Fruit Company maczał palce w przewrocie mającym na celu obalenie prawowitego rządu i przekazanie władzy dyktatorowi Armasowi. Świadczy to o tym, że aktualność książek napisa-

nych doraźnie może się rozciągać na wypadki późniejsze obfitujące jednak w wyrażone analogie.

Analogii tych nie będziemy tu zestawiać, dokonajmy tego z łatwością sami czytelnicy. Debiut Poppoego łączy w sobie powieść i reportaż, zawiera więc dostatecznie dużo materiału faktycznego.

Cheśmy w tej nocy zwrócić tylko uwagę czytelników na te walory powieści, które pasują ją na lekturę wartą poznania. Z jednej więc strony na interesującą warstwę obyczajową książkę, na rzetelne osadzenie tematu w klimacie Ameryki Łacińskiej. Z drugiej strony na koncepcję bohatera powieściowego. Autor powierzył kilku plastycznie narysowanym postaciom rolę istotne, ale ich indywidualne losy pozostają w zależności od wydarzenia w książce centralnego, od owej „bananowej wojny” jak ochrzcił dziennikarze interwencję amerykańską w Gwatemali. Pozwoliło to Poppemu naświetlić agre-

sję z kilku różnych punktów widzenia, z różnych stanowisk politycznych. Rzetelność relacji przysługuje na szczególną pochwałę. „Bananowa wojna” jest bowiem powieścią napisaną uczciwie. I jako dokument amerykańskiej przemocy i jako, co może jeszcze ważniejsze, proza do czytania.

K. F. K. H. Poppe: „Wojna bananowa”, Wyd. „Iskry”, 1965 r., str. 319, cena zł 18. Okładkę projektował Józef Wilkoń.

„LOS JEST MYŚLIWYM”

Amerikanin Ernest Kell-Gann zaczął pisać w r. 1944, po kilkunastu latach pracy w charakterze lotnika i jest dziś autorem wielu książek młodzieżowych, z których kilka przyniosło mu rozgłos. Jedną z nich jest jego autobiograficzna powieść przełożona obecnie na polski przez znakomitego tłumacza Henryka Krzecz-kowskiego. Powieść „Los jest myś-

liwym” mogą czytać i dzieci i dorośli. Dla młodzieży interesujące będą niewątpliwie serie przygod w powietrzu, które ma na swym koncie Gann, najpierw jako drugi pilot, a potem jako kapitan samolotów pasażerskich i transportowych. Dla dorosłych będzie zajmujące przede wszystkim to, że owe przygody zostały rzetelnie udokumentowane i książka robi wrażenie autentycznej.

Trzeba jednak dodać, że uroda książki jest zarazem jej słabością. Gann pisze wyłącznie o lotnikach i o lotnikach w ogóle, czytelnik więc, który zna fascynujące piśmiennictwo de Saint-Exupéry’ego, będzie nieco zaskoczony zawężonym widzeniem Amerykanina. Nie znaczy to, że Gann nie podejmuje żadnych prób potraktowania tematu szerzej, uniwersalnie. Oczywiście robi to, ale prawdziwie, które z tej okazji odrywa, brzmią mniej więcej tak, jak tytuł jego książki.

Ala w końcu książka Ganna jest znakomitą lekturą przygodową. Jest na-

wet czymś więcej, jest bowiem protokołem przygody. Protokołem o czasach, gdy podejmowano nieśmiało próby przelotów transkontynentalnych, a w komunikacji między Ameryką i Europą panowały niepodzielne statki. Powieść Ganna jest więc zarazem jakimś przyczyńnikiem do historii lotnictwa w ogóle.

K. F. Ernest K. Gann: „Los jest myśliwym”, Wyd. „Iskry”, 1965, str. 333, cena zł 23.

„WIECZORY”

Debiut powieściowy Anny Markowej pt. „Wieczory” jest niewątpliwie książką ciekawą. Ta, mieszkająca stale w Opolu poetka, wydała dotychczas dwa tomiki, które zostały żywcem przyjęte przez krytykę.

W „Wieczorach” autorka stara się przedstawić życie młodej kobiety nie jako w dwóch płaszczyznach jednocześnie, ale w płaszczyznach od siebie

mocno zależnych, wpływających jedna z drugiej. Codzienne sprawy dnia powszedniego natarczywie przywołują na pamięć „tamte dni”: Japończyków, wojny, organizacji, dni wyzwoleń, studiów i pierwszej miłości.

W zasadzie i tu i tam były sprawy niedomówień, sytuacje wymagające regulacji, pytania postawione bez odpowiedzi. Bohaterka pozornie tylko znała życie — ale gdzieś w podświadomości pozostał niedosyt. Oczywiście wszystko to jest zbyt osobiste, by wyciągać z tego jakieś ogólne wnioski.

W pewnych momentach, każde życie należałoby rozpoznać ab ovo, chociażby po to, by dokonać bilansu własnych doświadczeń. Książka została starannie wydana przez Wydawnictwo Łódzkie z pomysłową obwolutą Romana Prokulewicza.

E. I. Anna Markowa: „Wieczory”, Wyd. Wydawnictwo Łódzkie, 1965 r. Stron 156. Cena zł 21.



Me zawsze pierwszy. Trudno w tak namalowanym portrecie doszukać się rysów wielkiego twórcy. „Komedia ludzkiej”, subtelnego psychologa i obserwatora.

Niektórzy oceniali Balzaca na podstawie jego wad, np. próżności i odmawiali mu wartości charakteru. Byli i tacy, którzy go rozumieli i podziwiali: Hugo, George Sand, Heine, Stendhal.

W oczach środowiska w którym się obracał, szkodziło mu przede wszystkim niskie pochodzenie społeczne. Ojciec pisarza nazywał się „Bernard-François Balssa, zaczynał swą karierę ży ciową od roli pastucha. Potem zaopiekował się nim dobroćliwy proboszcz i przyjął do chóru kościelnego. Mając lat 19 wyjechał do Paryżu. Był kolejno republikaninem, bonapartystą, rojalistą, człowiekiem prawa i człowiekiem interesów. W r. 1793 dzięki dostawom dla armii zdobył majątek. Mając lat 50 już jako Balzac zaczyna żyć z renty i to żyć bardzo dobrze w spokojnym Tours. W 20 lat później nazywa się już de Balzac. Czyż nie jest on najbardziej balzackowską ze wszystkich postaci „Ludzkiej komedii”?

Po swych chłopskich przodkach odziedziczył Balzac upór i zawzię-

tość. Pisał tak, jak oni uprawiali ziemię, w trudzie i zaciętości. W nocy, nad ranem, do południa. Potem poprawiał to, co napisał. Do dziś jeszcze w okolicach Tarn i Aveyron żyją chłopcy o nazwisku Balssa. Balzac, tak jak jego ojciec, też mógł być jedną z postaci „Ludzkiej komedii”. Grał komedie w życiu i pisał komedie.

Miał wielu wrogów i mało przyjaciół. Kochał, kochał oczywiście panią Hańska, albo też jej po stać stworzoną we własnej imaginacji.

Taki był portret Honoriusza Balzaca, syna pastucha z La Nougayrie, monarchisty i katolika dla interesu, mieszczaucha z urodzenia, mieszczaucha z powołania, z pieniędzmi w głowie ale nie w kieszeni, człowieka stworzonego jakby właśnie po to by napisać „Komedię ludzką”, dzieło w którym nic z epoki i jej instynktów, nie zostało zagubione. Z perspektywy czasu Balzac może się wydać nie tyle pisarzem kreującym swój świat, ile badaczem obserwującym i rejestrującym obraz świata.

I mimo wszystko, ten człowiek pochłaniający hektolitry kawy, pisały 4 powieści rocznie, pisały nożem, nocami, i musi, mimo swych wad i słabości, budzić podziw dla

swjej wielkości, wielkości, która przerosła tych którzy z niego sztydzi.

Jego powieści stanowią wierne zwierciadło epoki. Dla bohaterów Balzaca, podobnie jak dla samego pisarza, najważniejszy jest pieniądz. „Wiesz, że jestem większym finansistą niż pisarzem” — pisał Balzac do pani Hańskiej. Na szczęście rzecz się miała odwrotnie. Ale prawdą jest, że tworzył raczej dla pieniędzy niż dla sławy. Twierdził, że książka jest właściwie warem, takim samym jak inne. Był wielkim realistą. Realizm jego klasy pozwolił mu na to. Podkreśla to Andre Wurmser w swojej najnowszej książce, którą wydaje Gallimard zatytułowanej „Nieludzka komedia”, mówiąc, że „istnieje ścisła zależność między realizmem jego rodziny i klasy, a realizmem powieści Balzaca. Paradoksalnie rzecz biorąc — dodaje — właśnie dlatego że należał do burżuazji, stał się wielki.”

Był więc twórcą i zarazem bohaterem stworzonego przez siebie świata, dzieła, które przetrwało swych bohaterów. „Chcę nie chęć — powiedział Victor Hugo nad grobem Balzaca — autor tego ogromnego i niezwykłego dzieła należy do potężnego rodzaju pisarzy rewolucyjnych”.

■ TRZEMA WYRÓŻNIENIAMI zakończył się w Moskwie, pierwszy w Związku Radzieckim, festiwal zespołów jazzowych. W imprezie zorganizowanej przy udziale Komitetu i Związku Kompozytorów wzięło udział 14 zespołów spośród 30 zgłoszonych do eliminacji wstępnych.



■ Z MIĘDZYNARODOWEJ WYSTAWY „Integracja” Andre Toussaint, Belgia — drzeworyt.

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Teatr Ziemi Łódzkiej gra komedię sowiżdzką Romana Brandstaettera „Marcholci”. Jest to zresztą zrobione, eksponujące watek plebejski w naszych dziejach narodowych widowisko, które nadaje się doskonale na sceny objazdowe, gdzie zapewne

wśród szerokiego kół publiczności wzbudza huragan śmiechu i ośmieszeń. Zastępuje na uwagę pomysłu reżysera Czesława Staszeńskiego i dobra gra zespołu ze słynnym Jerzym Staszewskim w roli tytułowej.

WTÓREK

W Klubie Dziennikarza oglądaliśmy interesujący film dokumentalny o walkach wywołanych Kurdów. Zdjęcia wykonał dziennikarz francuski. Kurdowie walczą o swój byt narodowy już od czterdziestu pokoleń. Niewiele tego wojowniczego narodu przypieczętowała Anglia, który zabiegali o źródła naftowe Mossulu i Kerkuku. W wyniku przetargów trzynastomilionowy naród kurdyjski został podzielony między cztery państwa: Syrię, Turcję, Iran i Irak, któremu przypada największa część ziem Kurdów. Żyjących na

wschodnim terytorium arabskim Kurdów łączy z Arabami tylko jedno — wspólna religia, Islam, natomiast dzielą wszystkie: język, obyczaje, tradycje. W 1964 roku rząd iracki zapewnił Kurdom różne prawa autonomiczne, których jednak nie przestrzegali. Obecnie znów w górach Kurdystanu toczy się otwarta walka przeciwko gwałcieliom podstawowych praw narodowych Kurdów. W ostatnich tygodniach samoloty armii irackiej bombardowały i obrzucały bombami napalmowymi miejscowości kurdyjską Duhak.

ŚRODA

Nakładem firmy Doubleday u Comp. w Nowym Jorku ukazała się antologia polskiej poezji powojennej pod tytułem „Postwar Polish Poetry”, w której zamieszczono wiersze wybitnych poetów polskich od Leopolda Staffa aż po Urszulę Kozioł.

Znajdujemy w tej antologii między innymi poezję Jarosława Iwaszkiewicza, Mieczysława Jastruna, Zbigniewa Herberta i in. Z poetów łódzkich znalazł się w „Postwar Polish Poetry” wiersz Jarosława Marka Rymkiewicza „Spinoza był pszczołą”.

CZWARTEK

Wśród recenzentów i wśród bywalców teatralnych toczy się spór o Krzysztofa Chameła, odwołując się do Kaliguli w sztuce Alberta Camusa „Kaligula” graną w Teatrze im. Jaracza. Redaktor Władysław Orłowski przyznając, że Chameł potraktował postać Kaliguli w sposób głęboko przemysłany, zarzuca artystę pewne przerysowania. „Zimna logika Kaliguli” przybierała chwila formę zbitą o obłąkanie” pisze Orłowski. Odróż, ta „zimna logika” była właśnie obłąkaniem! Szkoda, że redaktor Orłowski nie mógł widzieć Solińskiego w roli Kaliguli w sztuce Karola Huberta

Roztworowoskiego. Tam dopiero widzieliśmy posad psychopaty co się zowie Sądze, przeciwnie, że Chameł był zbyt powściągliwy w gestach i słowach; zbyt „normalny” jak na filozofa-szałena. Ale może pod wpływem recenzji artysty zmienił koncepcję? Ja oglądałem przedstawienie po premierze prawej i sądzę, że Chameł ustracił przede wszystkim w ekspresji Camusa, dla którego eksperymenty żywej rodnącej despoty na tronie były pretekstem artystycznym do odsłonięcia moralnych i filozoficznych perspektyw na tyranię gwałcąca elementarne zasady współżycia między ludźmi.

PIĄTEK

„Dziennik panny służącej” znakomitego Bunuela rozczarował naszą publiczność, która wychodziła z kina z uczuciem niedosytu. Bogate środki artystyczne nagromadzone w tym dziele filmowym są niesproporcjonalnie świetne w porównaniu z wynikiem, jaki otrzymujemy po zanalizowaniu wrażenia

i wniosków z całości oglądanego filmu. Chciałoby się powiedzieć, że góra urodziła mysz. Również gra utalentowanej artystki Jeanne Moreau przynosi zawód jej wielbicielom. Raz po raz zadajemy sobie pytanie, czy to panna służąca, czy księżniczka w przebraniu pokojówki?

SOBOTA

Prawdopodobnie nie zawsze należyce doceniamy pracę różnych komisji Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Okazuje się, że formy tej pracy są bardzo różnorodne. Na przykład Komisja Pedagogiczno-Młodzieżowa przy Zarządzie Łódzkiej TPP-R może pochwalić się rezultatami, którymi zainteresował się Wydział Pedagogiki Uniwersytetu Warszawskiego. Jak wiadomo, przy szkołach istnieją Szkolne Kola Przyjaciół Związku Radzieckiego. Wiodące — jak to się dzisiaj mówi — czyli przodujące Kola Szkolne organizowały w minionym roku szkolnym zajęcia poradnicze w lokalu TPP-R. Zebrani dyskutowali nad wyborem

problemów, na przykład: Organizacja wieczoru poezji radzieckiej, lub: W jaki sposób popularyzować osiągnięcia Republiki Radzieckiej? Wieczorów takich odbyło się od października ub. roku do maja br. około trzydziestu. Na jeden z wieczorów przyjechała grupa młodzieży z Chorzowa. Tego rodzaju imprezy wyrażają inicjatywę i samorządność i młodych uczestników. Wydział Pedagogiki Uniwersytetu Warszawskiego zainteresował się tym rodzajem pracy w TPP-R łódzkim kierownictwo wzięło pod uwagę i w innych miastach formę, jak i ze względu na wysoki poziom dobrej roboty.

NIEDZIELA

Moja rada na niedzielę dla Sz. Czytelników Notatnika Kulturalnego: Chciałbym zainteresować Państwa kwartalnikiem amerykańskim w języku polskim posiadającym debiut u nas w kraju, Nazwa kwartalnika „Tematy”. W numerze 43 „Tematów” z 1965 roku znajdujemy niezwykle interesujące studium Kennetha Burkego pod tytułem „Definicja człowieka”. Definicja brzmi: „Człowiek to zwierzę

rzę posługujące się symbolem, symbol stwarzające i symbolu nadużywające”. Burke zwraca uwagę, że dawniejsze definicje typu „dwunożny zwierzę lądowy” (Aristoteles) czy „bezpłóte stworzenie dwunożne” (Spinoza) są nieadekwatne, ponieważ zaważają horyzont sprawy do sfery ruchu. Ale po coś referować? To należy i warto przeczytać.

ARYSTARCH

Kto, co, kiedy?

relacje niedyskrecje



CAŁY ŚWIAT UROCZYŚCIE OBCHODZI 700 ROCZNICĘ URODZIN DANTE ALIGHIERI, AUTORA „KOMEDII”, KTÓREJ PEŁNE PODZIWI KOMPLEKSIŃCZY CZYTELNIKÓW NADAŁY PRZYDOMEK „BOSKIEJ”.

■ HANS HELLMUT KIRST, autor „Nocy generalów” właśnie za tę książkę otrzymał — jako pierwszy Niemiec — amerykańską Nagrodę Literacką im. Edgara Allana Poe.

■ ZNANY FRANCUSKI PISARZ, Jules Romains, w wywiadzie udzielonym francuskiemu radiu nazwał epokę, w której żyjemy „czasem strip-teasu cielesnego, duchowego i umysłowego”.

■ W PARYŻU odbywa się Międzynarodowy Kongres Kompozytorów. Co dzień, trzygodzinne koncerty i recitale nagrywane są przez 24 przedsiębiorstwa i radiofonie. Na podstawie tych nagrań przyznana będzie końcowa Wysoka Nagroda Kongresu.

■ W „TYGODNIU POEZJI”, urządzonym w Spoleto w dniach od 26 czerwca do 2 lipca, wzięło udział Ezra Pound i Salvatore Quasimodo.

Od zakończenia wojny ukazano się we Włoszech aż 47 książek — pamiętników, mówiących o dziejach włoskiej armii ekspedycyjnej, walczącej na froncie wschodnim. Niemal wszystkie te książki mają charakter demaskatorski, antyfaszystowski i antywojenny, ale najbardziej pod tym względem idzie nowo wydana autobiograficzna powieść Cristoforo Negri pt. „Długie karabiny”.

Negri — uczestnik kampanii na Wschodzie — w sposób wstrząsający opowiada historię tego epizodu wojennego. Okrucieństwa Niemców, patriotyczna postawa ludzi radzieckich, wreszcie rozpacz i zwątpienie Włochów, oto kanwa na któ-

rej ukazany zostaje proces odradzania się świadomości politycznej faszystowskiego żołnierza i oficera. Bo właśnie żołnierzy i oficerów faszystowskich na Wschodzie miał po powrocie do kraju w roku 1944 stać się przywódcą ogólnonarodowej walki partyzanckiej we Włoszech. I tak no, pulkownik dowodzący jedną z grup, w której służył Negri, powiedział mu jeszcze w roku 1943: „Jeśli tylko uda nam się wrócić z tego piekła, załadujemy w Rzymie, by spłacać rachunek krzywd i zbrodni”. W roku 1944 obaj oficerowie spotkali się w partyzancie.



DZIEŁO JAMESA ROSENQUISTA, zatytułowane „F-111” ma wymiary 30 m x 3 m. Prawda, że imponujące! Ameryka uwielbia rzeczy największe i ekscentryczny artysta-plastyk dobrze o tym wiedział. Było, co prawda, trochę kłopotów ze znalezieniem odpowiedniego wystawcy, ale wreszcie roli tej podjął się sprytny Włoch Leo Castelli, i tak oto Nowy Jork mógł wreszcie ujrzeć gigantyczne „F-111”, dzieło na miarę Michała Anioła. Malowidło składa się z 51 części, które — jak stwierdził James Rosenquist — można sprzedawać oddzielnie. Aluminium, plastik, drzewo, płótno, tkaniny, ozdoby, plakaty reklamowe, części parafin, wreszcie farby olejne, gwasz, tempery i laki. Co to wszystko przedstawia? Oczywiście — „F-111”. A fragment tej znakomitej pracy możemy, Czytelniku, obejrzeć na naszej reprodukcji. Wspaniale, prawda? I chyba warto 60.000 dolarów jakie zapłacił za „F-111” pewien nowojorski kolekcjoner?



ARYSTARCH

str. 9



Przedstawiam
Państwu
opowiadanie
którego nie
pozwolili mi
zrealizować w TV

Alfred Hitchcock

Zapukano do drzwi w sobotę dokładnie o godzinie dwudziestej. Po godzinie ósmej zazwyczaj nikt im nie składał wizyt. Miss Melissa spojrzała na swoją siostrę, ale ta tylko wzruszyła ramionami. Za dnia z nich nie oczekiwała gości, a nawet gdyby tak było obie wiedziałyby o tym. Miały zwyczaj mówienia sobie, jeżeli któraś z nich spodziewała się znajomych. Przestrzegały tego nie pisanego prawa i może dlatego w idealnej zgodzie panowały Melissa i Clara Weston spędziły pod jednym dachem trzydzieści lat.

Zapukano znowu. Miss Clara pomyślała, że może ktoś z biura firmy Weston Lumber and Supply Co, która obie siostry odziedziczyły po swoim ojcu.

— Pójdę otworzyć — powiedziała Clara. Zapaliła w przedpokoju światło i otworzyła drzwi.

Do mieszkania wtargnęli dwaj mężczyźni.

— O co chodzi? — spytała Clara.

— Czy był tam kto? — zwrócił się niższy do swojego kompana.

— Nie.

Clara spojrzała na wysokiego, nienagannie ubranego mężczyznę. Wydawało jej się, że go zna, ale nie mogła sobie przypomnieć gdzie go widziała.

— Proszę wyjść!

— Chwileczkę — powiedział wysoki. — Mamy do pani interes.

— Zwołam policję — zagroziła Clara.

— Nie radzę.

— Niższy zbliżył się do niej i dopiero teraz Clara zau-

ważyła w jego ręku pistolet.

— George zna się na tym, Miss Weston — powiedział wysoki. — Lepiej przejdźmy do siostry.

Weszli do pokoju.

— Ci panowie są z elektrowni. Już byli u nas kilka dni temu. Czy znowu coś się zepsuło? — zapytała Melissa.

— Tak — odparł George.

— Niepotrzebnie tracicie

WADE H. MOSBY

Może
panu
powróżyć?

czas. U nas jest wszystko w porządku. Chyba Clara już panom mówiła — ciągnęła dalej Melissa.

— Oni nie są z elektrowni. To... bandyci.

— Dobrze, że pani wie o co chodzi. George nie użyje broni, będzie trzymał pistolet w ręku aby przypomnieć paniom, że sprawa jest poważna i pilna. A teraz usiądźmy.

To nie było zaproszenie. Clara wzruszyła ramionami i usiadła na sofie obok siostry. George zaczął rozglądać się po pokoju, wreszcie usiadł w fotelu.

— Co was tu sprowadza? — spytała Clara.

— Pieniądze, Miss Weston — powiedział wysoki mę-

czyzna zapalając papierosa. Clara zauważyła, że nie zdjął rękawiczek. — Wydaje mi się, że starszym paniom pieniądze nie są już potrzebne. Wiemy, że pieniądze są za tym obrazem w sejfie.

— I macie zamiar go otworzyć? Dlaczego nie zrobiliście tego podczas swojej pierwszej wizyty?

— Ostrożność nigdy nie zaszkodzi — uśmiechnął się John.

— Wobec tego otwórzcie — znecierpliwiła się Clara.

— Nie. Jedna z was zrobi to szybko.

— A jeżeli my tego nie zrobimy?

— Nam się nie spieszy. Poczekamy — John rozparł się w fotelu. — Nie chcielibyśmy używać siły, ale jeżeli zajdzie potrzeba... znajdą was dopiero w poniedziałek.

Powiedział to ostrym tonem i Clara z trudem oparowała strach. Po chwili odpowiedziała:

— Nie mamy zamiaru otwierać sejfu.

— Obie na raz nie — uśmiechnął się leniwie John — wystarczy, jeżeli to zrobi jedna z was.

Spojrzał na pistolet tkwiący w dłoni Georga. Melissa zaczęła płakać, a Clara objęła ją ramieniem i przycisnęła do siebie. John był bardzo zadowolony.

— Scena jest naprawdę wzruszająca. Słabość i siła, lęk i jagnię — zaśmiał się.

Zapanowała cisza przerywana jedynie płaczem Melissa.

— W tym domu rządzi Miss Clara i wszystko tylko od niej zależy — ciągnął dalej John.

Melissa przestała płakać, wytarła chusteczką oczy i spojrzała na zegar.

— Oczekujecie kogoś? — spytał John.

— Nie... już dziewięta trzydzieści, a my o tej porze zawsze pijemy herbatę...

— Zawsze o dziewiętej trzydzieści pijecie herbatę? — zdziwił się. — Jesteście niewolnicami przyzwyczajenia. Dom, biuro, rozkazy Miss Clary, pieniądze nagromadzone w sejfie — i herbatę zawsze o dziewiętej trzydzieści. Wszystko jak w zegarku.

— Śmiesz to pana...

— Nie, zupełnie — odparł John. — Napijemy się herbaty — może będzie to miało jakiś wpływ na przyspieszenie decyzji i wreszcie otworzycie nam sejf.

— Może panu powróżyć? — powiedziała Melissa.



„Zaczarowany las”. — Fot. E. Haneman

— Z fusów? — spytał. — Dobrze. George, idź z panią do kuchni. Ja tu zostanę z Miss Clary by jej dotrzymać towarzystwa.

— Po chwili Melissa przyniosła herbatę i zaczęła ją nalewać do filiżanek.

— A teraz wróćmy — powiedziała i nachyliła się nad filiżanką siostry. — Widzisz jak ułożyły się płatki herbaty? Tworzą znak zapytania. Oznacza to, że niebawem będziemy musieli szybko na coś się zdecydować.

John zaśmiał się ironicznie. George pochylił się nad stołem aby lepiej widzieć dno filiżanki.

Melissa zwróciła się do niego.

— Teraz panu, Mr. George. Boże, przecież pan nie ma fusów! Wrzucę panu trochę.

Melissa podeszła do siedzącego Georga i z całej siły uderzyła go dzbankiem po głowie. Dzbanek rozleciał się w kawałki, a George osunął się na podłogę.

John usiłował zerwać się z fotela, ale w tym momencie Clara zalała mu oczy herbatą, a kiedy przetarł je — zobaczył, że Clara trzyma w ręku pistolet Georga.

— Nie strzelaj! — krzyknęła Melissa. Clara spojrzała na nią ze zdumieniem.

— On stoi na moim ulubionym dywanie, a przecież

wiesz jak trudno jest usunąć krwawe plamy.

— To prawda — zgodziła się Clara. Może pan przesunie się w stronę ściany... O tak, dziękuję.

— Lepiej będzie jeżeli za-

dzwonimy na policję — powiedziała Melissa i podeszła do telefonu.

Przełożył:

ROMAN GORZELSKI

SPEKTAKLE tygodnia

Teatry			
NOWY	„Wice i Wacek”, 1 spektakl	700 — 100%	
	„Pan Geldhab”, 2 spektakle	1200 — 80%	
	„Osiem Kobiet”, 2 spektakle	800 — 65%	
	„Zycie Galileusza”, 1 spektakl	400 — 60%	
NOWY Mała Sala	„Drewniana Miska”, 2 spektakle	400 — 100%	
	„Indyk”, 2 spektakle	350 — 75%	
	„Garść piasku”, 1 spektakl	150 — 75%	
JARACZA	„Kaligula”, 3 spektakle	1.950 — 100%	
	„Ostatnia stacja”, 2 spektakle	1.300 — 100%	
	„W pustyni i w puszczy”, 4 spektakle	2.000 — 100%	
	„Ania z Zielonego Wzgórza”, 1.300 — 100%		
POWSZECHNY	„Dziady”, 1 spektakl	668 — 100%	
	„Ktoś nowy”, 1 spektakl	668 — 100%	
	„W 80 dni dookoła świata”, 2 spektakle	823 — 62%	
7.15	„Filk i Mik w Zaczarowanej Zatoce” — 5 spektakli	2.195 — 100%	
	„Latające dziewczęta”, 4 spektakle	1.466 — 83%	
OPERA	„Legenda Bałtyku”, 2 spektakle	1.013 — 85%	
OPERETKA	„Bal samotnych”, 6 spektakli	4.952 — 74%	
FILHARMONIA	2 koncerty absolwentów PWSM w Łodzi	820 — 75%	

Cyfry procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

Lewym
okiem



Z CZEGO TU SIĘ ŚMIAĆ?

Nie zamierzam tutaj oburzać się i gorszyć, za duży to byłby honor dla tych młodych osób, którym na niczym tak nie zależy, jak na wywołaniu oburzenia i zgorszenia. Jeśli już chcecie znać imię impulsu, leżącego u podstaw tego felietonu, to brzmi ono raczej: politowanie.

Dumni jesteśmy z tego, że Łódź stała się jednym z największych ośrodków akademickich w kraju. Nie bardzo to uprzedzie rzuca się w oczy, krajobraz naszych ulic — nawet w bezpośredniej bliskości wyższych uczelni — różni się od takiego na przykład Krakowa, gdzie młodzież akademicka jest wyraźną, nadającą ton, sympatyczną grupą społeczną. Łódzki student nie chce być rozpoznany,

nie podziela widocznie naszego ojcowiskowego uczucia dumy. Czapek studenckich nikt nie nosi, nie ten jasek. Najwyżej plastycy mają swoje brody i obszarpane swetry. Nie widzisz grupy zapijonych w dyskusji młodzieńców, jak na krakowskich Plantach lub na placu przed warszawskimi Wirytkami. Żadnym elementem swego zachowania studentka i student nie zdradzą pozycji, z którą tyleśmy kiedyś wiązały zaszczytu i prawdziwego szczęścia.

Podjeżdżają się owsem próby wyrażenia, nadania jakiegos oblicza tej wielotysięcznej części mieszkańców naszego miasta, zamieszkania jej obecności. Próby wysmażane przy biurkach, wótnie, naśladowcze. Różne upiające przebieganki i marsze z okrzykami, zupełnie takie same jak w przedszkolach, Żakalia i Juwenalia Lubelskie, Toruńskie, Olsztyńskie, Częstochowskie i Łódzkie. Wyciąga się z teatralnych rekwizytów brudne kostiumy od Sasa i od Lasa, byle jakie, wyznacza się funkcjonalnych, tych co pierwsi, tych drugich, trzecich, przednich i tylnych. Młodzież, wyciągnięta wreszcie na światło dzienne, idzie, nieświeżymi i krzyżczy.

O czym ten krzyż i te napisy? O, na przykład

panienki niosą duży transparent: „Oddam cnotę za dwa złote”. Powtarzam: nie gorszę się. Zał mi tylko tych panienek. Co chciały powiedzieć swoją publiczną deklaracją? Co ośmieszyć? Jeszcze raz przekonaj podrywaczy, że ich rycerskie skrupuły są zbędne, że schowanie między ludzkich stosunków, o czym wiele już zapisano kartek niebieskich i innych, postępuje zbyt wolno, jak na dziewięćcy gust? O czym chcą nas przekonać inne panienki, z transparentem: „Niech żyją globulki!” Ze nareszcie jakiś rozsądny wynalazek dla ulżenia ciężkiej doli młodzieży?

Już nawet nie pytam, jak widzą, co to wszystko ma wspólnego z dwudziestowiecznym istnieniem Uniwersytetu Łódzkiego, a przecież właśnie to dwudziestowiecie miało być uczczone między innymi szumnym pochodem młodzieży przez miasto. Nie pytam, bo oczywiście wiadomo, że nie ma nic wspólnego. Ale, kochani, gdzie dowieć, gdzie pomysłowość?

Chciano wzbogacić program uroczystości rocznicowych i jednocześnie dać możliwość wyzucia się młodzieży. Tak to się zdaje nazywa się w języku „działaczy”. No i macie. Niech żyją globulki! Kto się śmieje?

Ja się nie śmieję.

CWIEK